ŁOWIEC POLSKI



Wspaniałe tokowisko. Z serji nagrodzonej I nagrodą na konkursie fotograficznym „Łowca Polskiego w r. 1938. Fot. W. Puchalski.

ORGAN
POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Nr. 9 (929) 1 MAJA 1939 R.

CENA ZŁ. 1.–



Na polowanie Alfred Wierusz Kowalski.

Komitet Wykonawczy Polskiego Związku Łowieckiego przypomina myśliwym, zrzeszonym w Związku, obowiązek jak najwydatniejszego poparcia

Pożyczki Obrony Przeciwlotniczej

Każdy dzień zwłoki z wpłatą na Pożyczkę przynosi szkodę sprawie obronności kraju!

Oficjalny termin zamknięcia subskrypcji Pożyczki upływa z dniem 5 maja r. b.

Przed tym terminem wszyscy myśliwi winni wykonać swój obywatelski obowiązek zakupu obligacyj Pożyczki.

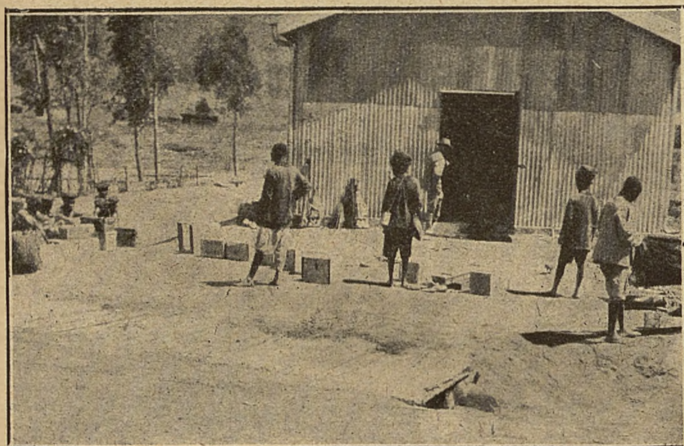
AFRYKA
(Ciąg dalszy).

W SŁOŃCU

Pracowitym się zapowiadał nasz pierwszy dzień w Mombasie i pełnym wrażeń. Obudziłem się kiedy ciemno było jeszcze i świeciły gwiazdy. W pokoju duszno wciąż było i gorąco, za otwartem oknem cicho, jak makiem zasiał; usnęły i uleciały nawet cykady. Sen odbiegł mnie zupełnie; spojrzałem na zegarek: dochodziła szósta i dzień przyjść miał lada chwila. Nie kładłem się więc i, patrząc w okno, czekałem pierwszego ranka w Afryce.

Nie skończyłem papierosa, kiedy nagle, bez wrzasku, jak w teatrze na scenie, na której zmieniają światło, gwiazdy zaćmiły się, zgasły i, szybciej niż to opowiedzieć można, na niebie różowe pojawiło się pierwsze tchnienie dnia. Było to raczej wrażenie jutrzenki tylko, bo światło zapalało się tak szybko, że w jednej chwili krajobraz za oknem ukazał się cały, jak gdyby nocne ciemności zasłoną były tylko, którą zerwała niewidzialna ręka. Zalały go w oka mgnieniu różowe blaski, potem złoto i purpura; chwila jeszcze — świat tonął w słońcu — Czarny Ląd przebudził się.

*



Z Albumu Autora.

Okna wychodziły na rozległy ogród czy plac, pełen przeróżnych drzew i krzewów. Niektóre znam już z Europy, gdzie hodowane bywają w cieplarniach. Poznaję figowce, kilka odmian palm, agawę, aloes i, pokryte różnobarwnem kwieciem, mimozy. Ale jakie niepodobne do nędznych okazów, rosnących w naszym klimacie. Zamiast chorych, zwyrodniałych karłów, trzymanych w niewoli, mam przed oczami wspaniałe drzewa, tryskające zdrowiem i siłą; w piekącem już słońcu poranka dolatuje zdaleka woń kwiatów.

W powietrzu, czepiając się gałęzi i rozłożystych liści palm, kręcą się pszczołojady, szare, drobne bengalinki z czerwonemi główkami i, coraz zaglądając do swych gniazd, rozwieszonych na cienkich gałązkach, jak gruszki, żółte, czubate tkacze.

Na podziwianie cudów tych jednak brak czasu. Na dziś za wiele mamy spraw pilnych, które załatwić trzeba bez zwłoki. Nie wiem zresztą ile czasu zabierze komora i stemplowanie broni, a biura i urzędy otwarte są zrana tylko przez kilka godzin. Tymczasem, prócz cła, czeka nas przewóz bagaży na kolej, ekspedycja, wymiany czeków na gotówkę, parę ostatnich drobnych zakupów i wreszcie zapoznanie się z wybraną już dla nas służbą.

Śniadanie wypiliśmy, nie schodząc do sali, a potem przedewszystkiem — komora. Jedziemy tam „dżirikszami", t. j. małemi powozikami o dwóch kołach, jakich używają w Japonji. „Dżirikszę", kłusując nie gorzej niż koń w naszej jednokonce, ciągnie — murzyn. Prosta, jak strzelił, droga do portu biegnie przez bujne zarośla, dzikie przeważnie, a gdzieniegdzie tylko sadzone ręką człowieka.

Ledwie minąwszy ostatnie zabudowania miasta, utonęliśmy w zielonym, odurzającym chaosie roślin, barw i aromatów. Ogarnęła nas ciepła, duszna atmosfera parującej wilgoci, gnijących na ziemi liści i kwiatów.

Poczucie żywiołowej siły, jakie doznaliśmy wieczorem wobec uśpionej przyrody Ziemi Słońca, dziś, wśród wspaniałej tej roślinności, wzmogło się jeszcze. Na widok potęgi i przepychu, jakie nas otoczyły, bezsilne zmysły, olśnione orgją barw i światła, zamierały.

Bezładnie, gwałtownie, w sile niewysłowionej płynęło życie i tysiącami przejawów, tysiącami postaci zalewało ziemię, jak powódź, od której ostać się nic nie jest w stanie.

Urągając granicom, jakie stawić mu usiłuje słaba technika ludzka, kipiący, bujny porost zalałby i pochłonąłby drogę, gdyby nie mrówcza, nieustanna praca broniącego się człowieka.

Spotykamy gromady całe czarnych robotników, oczyszczających trakt, po którym, jak po stole, toczą się nasze „dżiriksze".

W miejscach, gdzie gąszcz jest więcej zwarty, niepodobna odróżnić pojedyńczych drzew ani krzewów. Splątane pnączami, jak wielki bukiet usiany kwiatami, stłoczone, powiązane w jedną zieloną całość, kłębią się: olbrzymie, długie liście bananów, zębate wachlarze palm, mięsiste kaktusy i agawy, pachnące mimozy, strzępiaste pióropusze kokosów i niezliczony, nieznany mi drobiazg, tulący się do ziemi u stóp starszyzny, w podszyciu. Widoczne zdaleka, potworne, masywne, prawdziwe słonie między roślinami, rosną pojedyńcze baobaby, te osobliwe drzewa, na których, na tym samym pniu, jedne konary żyją i pokryte są liśćmi, kiedy inne odpoczywają i śpią ogołocone, jak nasze lipy w zimie.

Walka o byt, o słońce, o życie — zawzięta, nieubłagana — wre tam na każdym kroku. Gdzie spojrzeć, rośliny gniotą się, duszą, cisną; słabszy ulega mocniejszemu; drzewo zabija drzewo. Na starym, próchniejącym pniu baobaba, dobijając go, zaszczepiła się i rośnie palma.

Całe sploty, całe pasma ljan, pasożytów i powoi, żyją na powietrzu i, nie szukając miejsca na ziemi, kaskadami przerzucają się z drzewa na drzewo.

Ile roślin, tyle odcieni zielonego, tyle barw pośród kwiatów. Na pozłocistem drzewie „mohoru" jaskrawo czerwienią się całe ich snopy, całe bukiety. Koliste

mimozy i część krzewów pokryte są kwiatem tak zupełnie, że nie widać na nich liści. Na zielonem tle gąszczu, jak na palecie, igrają w słońcu plamy szkarłatne, żółte, szafirowe, aż mieni się w oczach od tego przepychu. Świat roślin panuje tam wszechwładnie i zalewa wszystko: toną w nim przydrożne słupy telegraficzne, pokryte liśmi bananów, lepianki krajowców i wille białych. Nad drogą nawet, jak sklepienie, przesłaniając niebo, zwieszają się miejscami drzewa mangowe, palmy, banany i zielone warkocze pnączy.

Ptaków tu więcej jeszcze niż w mieście. Na nagich konarach baobabu, wypatrując zdobycz, siedzą nieruchomo wielkie rdzawe sępy z gołemi głowami. W zaroślach, prócz tkaczy i bengalinek, płoszyły się i zrywały czarne, jak nasz kos, żółtodziobe muchołówki; czerwone od spodu, szafirowe na grzbiecie pszczołojady; szare drozdy z dziobem barwy koralu; wrony, podobne do naszych, znaczone są na piersiach białą podkową.

Dziwnie odzywały się te ptaki. Miauczały, dzwoniły, skrzypiały, jak stare koło, albo śpiewnym, melodyjnym głosem zaczynały urywaną w połowie gamę na flecie. Mały, niepozorny ptaszek naśladował do złudzenia stukanie młotkiem. Wróbla tylko, tego sympatycznego darmozjada kosmopolity, brak tam zupełnie.

Większa jeszcze rozmaitość i większe bogactwo barw, niż pośród ptactwa, panuje w ruchliwym a cichym świecie owadów. Nad kwitnącym fjoletowo, niskim krzakiem, jak biała chmurka, unosi się rój małych, do płatków śniegu podobnych, motylków. Większych motyli, latających pojedyńczo, nie znam zupełnie; nazwać umiem jednego tylko „pazia królowej", który okazalszy jest nierównie i dwa razy większy, niż nasz pazik europejski. Inne, małe, większe i bardzo duże, widzę w życiu po raz pierwszy: szkarłatne, żółte, szafirowe — kręcą się w gąszczach, migając wśród zieleni, jak żywe, ruchome kwiaty.

W powietrzu, obok błąkającego się aromatu goździka czy sandału i miękkiego, słodkiego zapachu akacji, który przeważa, powonienie odgaduje coś, jak woń spalenizny, wyraźną niby, a tak nieuchwytną, że powiedzieć trudno, czy to zalatuje zdaleka dym pożaru, czy pali tak mocno słońce, czy zapach ten może złudzeniem jest tylko. Woń ta dziwna, uporczywa prześladowała mnie na Czarnym Lądzie i towarzyszyła mi tam nieodstępnie.

Dziwna, dziwna ziemia! Dziwny świat przeciwieństw i ostateczności!

Mijaliśmy wspaniałą akację czy mimozę pokrytą kwiatem, od którego szedł rajski, cudowny zapach wiosny, kiedy, idąc pod górę, czarni w „dżirikszach" zwolnili i ustał pęd powietrza. W jednej chwili ogarnęła nas ohydna, pobudzająca do mdłości woń kozła, jaką wydaje murzyn, kiedy się poci.

*

Mniej może tajemniczo i mniej romantycznie niż w nocy, lecz niemniej ciekawie, przedstawia się port, widziany po dniu, w świetle słońca. Zarośnięte gęsto ciemne brzegi, rysujące się na błękicie nieba, obce, egzotyczne postacie drzew, tonące w zieleni nadbrzeżnej białe zabudowania i błyszczące w porannem słońcu, drzemiąca cieśnina, na której czarny, samotny stoi na kotwicy nasz parowiec, robią wrażenie przystani z bajki, w której zaczarowana usnęła przyroda, ludzie i zabłąkany statek. Drobne, czarne postacie, kręcące się na brzegu, jak mrówki, nastroju tego nie psują; w jasnem, gorącem słońcu świat był tam, jak śpiący.

*

Miasto Mombasa i port Kilindini, stare miasto i nowy port, leżą na skalistej wyspie koralowej, oblanej dokoła morzem. Na stałym lądzie, na wysokim brzegu, przeglądając się w zwierciadle zatoki, rośnie las potężnych palm kokosowych, zielonych drzew mangowych i podobnych do wielkich świeczników — euforbij-ostromleczów. Na wyspie, po naszej stronie, w gąszczu sykomor, palm, kwitnących purpurowo drzew „mohor'u" i wonnych akacyj, toną wille europejczyków, urzędy celne i odrażające, kryte falistą blachą, szopy portowe.



Z Albumu Autora.

Widziana zbliska przystań nie śpi, a przeciwnie, wre ruchem i życiem. U zadrzewionego brzegu, na kotwicach lub przywiązane linami, ciężkie handlowe „cargos", barkasy i żaglowe dahabie arabskie czekają na ładunek, złożony tymczasem w cieniu, pod dachem wielkich, otwartych składów. Zebrane widzieć tam można wszystkie produkty Afryki Środkowej, jakie wywozi i sprowadza Mombasa. Więc przedewszystkiem kauczuk, stosy kauczuku w cegłach i bryłach; dalej pęki kory wierzby garbarskiej i włókien agawy, wory kopalu i kawy, dużo skór, rogi bydła domowego i antylop, sążnie całe drogocennych kłów słoniowych, przywożonych z Ugandy i z czarnego Kongo i wreszcie kartofle i tytoń nawet, które udają się na płaskowzgórzach i wysyłane są przez Mombasę do gorących portów południa: do Czinde, do Beira i do Durbanu.

Pod okiem brodatego Hindusa w białym zawoju i z batem w ręku, czarni jak heban murzyni ładują właśnie pękatą barkę. Połyskując w słońcu od potu, nadzy tragarze dźwigają ciężkie wory, aż ugina się pod nimi kładka rzucona z brzegu. Arabscy dozorcy nie żartują widocznie i „kiboko *) w robocie bywa często, bo barka wypełnia się w oczach.

Między tragarzami, jak między bydłem roboczem, przypatrując się ich mozołowi, kręcą się dzikie postacie mieszkających w głębi kraju Wanyamwezi, Kikuju i nawykłych do swobody czarnych przewoźników i rybaków.

---

*) Bat ze skóry hipopotama.

Mimo wczesnej godziny, na komorze wre robota. Zastajemy tam już kilku towarzyszów podróży, myśliwych, clących swe przybory. Najwięcej bagażu wiezie znajomy nasz z Burgmestra, Cunninghame i Szwedzi, którzy wybrali się na całe pół roku. Pół sali zajęte jest skrzynkami z napisem: „London — Kilindini — Cunninghame". Ważą, płacą, piszą; na stołach, jak w sklepie u puszkarza, porozkładana broń i naboje.

Dzięki wprawie i uprzejmości, z jaką odnoszą się urzędnicy do sportsman'ów, traktowanych nierównie względniej niż handlarze, procedura clenia odbywa się gładko. Podajemy rodzaj i kaliber broni, ilość nabojów, jaką chcemy zabrać, i spisy przedmiotów zawartych w bagażu.

Naboje zostają sprawdzone, bo dowóz niektórych kalibrów do kolonji zabroniony jest zupełnie, a broń zapisana do rejestrów i ostemplowana: Hollandy nie Hollandy iść muszą pod młotek.

Marks or signatures	Ordinary place of residence.
:AZI MOTO ODONGO.	Porter.
OCHOLA MINJA.	"
KINANJUI KAMOW.	"
MUTUNGA MUTEEA.	"
OTIENO ONYANGO.	"

Wyjątek z listy zakontraktowanych na posługi podczas safari.

Nie bez pewnego niepokoju śledziłem manipulacje, jakim ulegały moje sztucery i paradox w rękach celnika Hindusa. Numery jednak wybijane ostrożnie i na osadach tylko, których to uszkodzić ani zeszpecić nie mogło. — Broń, która mi towarzyszyła, nosi dotąd pamiątkowe liczby: 428—29—30.

Spieszniej jeszcze i łatwiej poszło z resztą bagażu, którego nie otwierano, a clono według przedstawionych wykazów i rachunków.

Opłaciwszy pokaźny podatek 10% wartości wszystkiego co wieziemy, bagaże wysłaliśmy wprost na stację kolei, a sami, zawsze naszemi powozikami w murzynów, jedziemy do banku i po licencje, t. j. bilety na prawo polowania.

Wzamian za czeki kupione w Warszawie otrzymaliśmy w „Bank of India" czek miejscowy dla naszego impressarja, angielskie złoto i ciężki worek z rupjami srebrnemi dla tragarzy. Waluty tej mieć musimy sporo, bo czarni nie lubią papierów, a prawo zabrania wypłacać im złotem.

Na przypadek, gdyby spotkać nas miało nieszczęście, nie chcąc krzywdzić naszych spadkobierców, zegarki, cenniejsze drobiazgi i resztę pieniędzy pozostawiamy opieczętowane i zaadresowane w banku.

U komisarza, wnosząc po pięćdziesiąt funtów za jedną, dostaliśmy bez trudności dwie t. zw. „wielkie licencje", upoważniające do polowania na wszystkie bezmała rodzaje zwierza, spotykane w Protektoracie.

Uprzejmy, jak wszyscy zresztą urzędnicy angielscy, z którymi zetknąć się wypadło nam w podróży, „*District game commissioner*", czyli „myśliwski komisarz okręgowy" załatwił sprawę na poczekaniu i, chowając pieniądze, gawędził chwilę, zapytując, czy wiemy w jakich polować będziemy rewirach. Sam myśliwy, polował w kolonji dużo i okolice gór Mau, t. j. okolice Kijabe właśnie, zna dobrze. — *Qui vivra, verra.* Zapowiada dużą obfitość i rozmaitość zwierza. Spotkać tam nawet możemy rzadkie dziś w Afryce Wschodniej, a szczególnie pożądane, bawoły.

Opłaty pobierane za prawo polowania stanowią pokaźną pozycję w dochodach Protektoratu i przyczyniają się poważnie do utrzymania równowagi budżetu. Wogóle w Afryce Wschodniej zwierzyna i polowanie uważane jest za bogactwo kolonji, bo, prócz podatku wnoszonego wprost na ręce władz, sportsman'i pozostawiają w niej duże sumy, płacone kupcom, hotelom i tragarzom.

Na bilecie, który otrzymałem, wyczytałem z przerażeniem liczbę 313! W jedną i w drugą stronę fatalna trzynastka! A więc pomijając nawet złowrogi omen, w rewirach Protektoratu w tym sezonie polowało i może poluje jeszcze, nie licząc nas dwóch, 311 myśliwych!! — Co po nich zostanie, co znaleźć możemy tam jeszcze?

Prócz świadectw, komisarz wręczył nam małe broszury z przepisami obowiązującemi myśliwego, karty geograficzne z oznaczonemi granicami zamkniętych „*reserves*" i szematy, podług których wykazać mamy wyjeżdżając upolowaną zwierzynę.

Strusie, sępy wszelkiego rodzaju, orły-wężojady i sowy wyłączone są z listy myśliwskiej, jako ptaki użyteczne i strzeżone na całem terytorjum przez prawo. Drapieżniki za to: lwy, pantery, hjeny i dziki, jako szkodniki, wyjęte są z pod prawa i zdane na łaskę i niełaskę polującego.

Kto zdobyć ma zamiar słonia albo żyrafę, wykupić musi osobne, dość kosztowne pozwolenie, w którem zastrzeżone stoi wyraźnie, że strzelać wolno do słoni byków tylko, z kłami ważącemi conajmniej 60 funtów para. Kły młodszych byków i krów są konfiskowane, a myśliwy skazywany na grzywny.

Z wyjątkiem niektórych drobnych i bardzo pospolitych antylop i zebr, odstrzał samic i okazów młodych, niewyrosłych, wzbroniony jest również i karany dość surowo.

Mimo pewne ograniczenia, lista zwierząt, na które polować można, posiadając wielką licencję, jest bardzo obszerna i obejmuje 52 rodzaje. Z każdego rodzaju jednak wolno zabić pewną tylko określoną ściśle ilość okazów.

Bawołów i nosorożców po dwa; wielkich a rzadkich antylop, jak wielka kudu, eland i przepyszna „palahala" antylopa szablороga, po jednej. Pospolitych natomiast „kongoni" i zebr, zamieszkujących Protektorat setkami tysięcy, myśliwy odstrzelić ma prawo po dwadzieścia.

Sportsman, któremu zależy na liczbach i który strzelać zechciałby do wszystkiego, do czego prawo daje mu licencja, w przeciągu sezonu upolować może na terenach Protektoratu 312 sztuk, prócz drapieżców, zwierzyny drobnej i ptaków. 312 sztuk grubego zwierza! Dosyć chyba!?

Po drodze, wracając od komisarza, wstąpiliśmy do biura okrętowego, ażeby zawizować bilety powrotne i upewnić się kiedy przechodzić będzie statek, który zabrać nas ma do Europy, a z powrotem, nie tracąc czasu, udaliśmy się do agenta, gdzie czeka służba wynajęta dla nas na czas pobytu w Afryce.

Z ciekawością weszliśmy do sali, gdzie czekali ludzie, którzy towarzyszyć nam mieli nieodstępnie, dzielić wszystkie nasze losy, niebezpieczeństwa może. Zastaliśmy już dwóch przybocznych strzelców, t. zw. shikarich, dwóch „tent-boy'ów" czyli służących, dwóch preparatorów i osobistość pierwszorzędnego znaczenia, „mpishi" t. j. po suahili kucharza, czarnego jak węgiel gentlemana w białej koszuli i w białej mycce na głowie, pulchnego, z brzuszkiem i z parasolem w ręku. Wnosząc z tuszy, Jussuf, bo takie imię nosił nasz czarny Véfour, zjeść lubi dobrze i gotować chyba umie.

Wszyscy należą do szczepu Suahili i zapisani są w kontraktach służbowych, jako wyznawcy Mahometa.

Losowanie, które urządzamy na poczekaniu, przeznacza mi jako boy'a — Mahometa, sympatycznego bardzo czarnego chłopca z głową kędzierzawą, jak karakuły, a jak przekonałem się później, chętnego i w granicach dostępnych dla czarnego dość rozgarniętego nawet. Jako shikari, dostał mi się atletyczny, ospowaty, brzydki murzyn, Mabruki. Zarówno Mahomet jak Mabruki dodają do imienia końcówkę „Bidiuma", co nie nazwisko oznacza jednak, a przynależność do plemienia. Boy L., mego towarzysza, wygląd ma dandysa, na ręku zepsuty zegarek bez wskazówek i wrażenie robi niesympatyczne; jest bardzo pewny siebie i bardzo wymowny. Abdallas ben Osmain uważa się za skończonego podróżnika i bywalca, bo, towarzysząc jakiemuś sportsman'owi hiszpańskiemu, był kiedyś aż w Kairze.

Pierwsze nasze wrażenie zresztą sprawdziło się w zupełności. Przy bliższem poznaniu Abdallas okazał się brudasem, kłamcą i próżniakiem pierwszej wody. Nierównie lepszym nabytkiem był drugi nasz shikari, podręczny L., Diuma ben Hamisa, który tem się odznaczał, że tropu raz znalezionego nie gubił nigdy i prowadzić umiał za zwierzem do nieskończoności.

Najpokaźniej przedstawia się kucharz Jussuf, który, jako „mpishi", zarządzający stroną kulinarną „safari", spogląda z góry na resztę służby i nie poufali się z nią zbytnio. Nie opuszcza go parasol, który u czarnych stanowisko oznacza i jak gdyby pewne dostojeństwo.

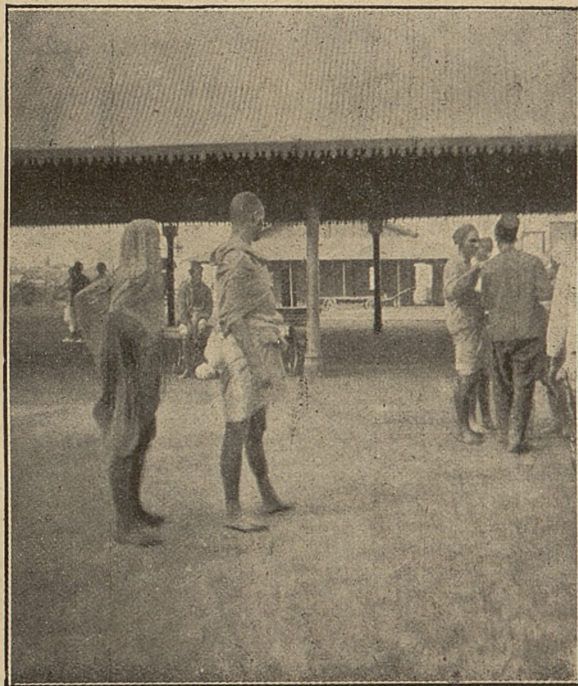
Wszyscy świadectwa mają wyborne; jeśli wierzyć, trafiliśmy na perły swego rodzaju. Niestety, jak przekonać się o tem mieliśmy niezadługo, świadectwom wystawianym w Afryce przez podróżników i przez myśliwych nie zawsze można wierzyć. Zalety boy'ów i shikarich potraja słońce.

W umowach, które podpisujemy, zastrzeżone stoi wyraźnie, że jako Mahometanie strzelcy i skinner'zy (preparatorzy) dzików, t. j. zwierząt nieczystych, dotykać ani oprawiać nie są obowiązani. Będziemy je oprawiać sami.

W myśl przysłowia, że „drobne podarki podtrzymują przyjaźń", dajemy ludziom po pięć rupji extra i, naznaczając spotkanie na stacji, rozstajemy się pod wrażeniem, zdaje się, wzajemnie dodatniem.

Mimo całego pośpiechu i uprzejmości władz, dzięki której załatwiliśmy szybko potrzebne formalności, czas płynął i, jak przewidywaliśmy to wczoraj, o wyjeździe tego samego dnia nie mogło być mowy. Mieliśmy więc półtorej doby na zwiedzanie ciekawego niezmiernie miasta, które tymczasem, jeżdżąc rikszami, widzieliśmy pobieżnie tylko. Opóźnienie zresztą i przymusowy ten postój w Mombasie były mi poniekąd na rękę, bo obiecując sobie fotografować trochę, sceny myśliwskie zwłaszcza, pragnąłem zapoznać się wprzódy ze światłem i sprawdzić, czy klisze z Londynu nie ucierpiały na morzu.

Zbytecznego agenta odprawiliśmy tymczasem i, polecając mu zająć się bagażem na kolei i zamówieniem biletów na najbliższy pociąg, ruszyliśmy szukać przygód.



Z Albumu Autora.

Egzotyczne nawskroś, arabsko-hindusko-murzyńskie miasto, jego budowle i zabytki, jego różnobarwni mieszkańcy, przepyszna roślinność i obyczaje, jednem słowem otoczenie całe było dla nas ciekawe i poprostu wpraszało się na klisze. Patrzyliśmy wszak na miasto, o którem w swem „Luisiadas" Kamoens powiada z zachwytem: „szlachetne budowle o pięknych zarysach... wieńczące, jak korona, brzegi Oceanu".

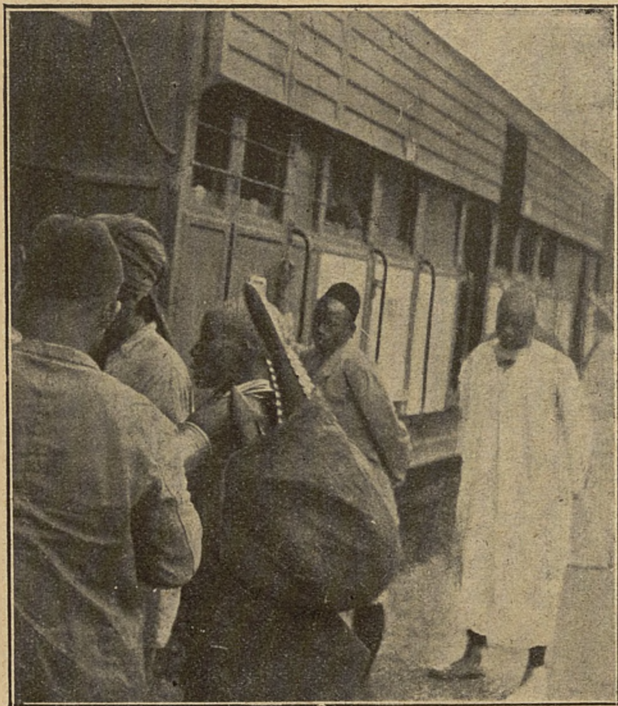
Mało miejsc w świecie pochlubić się może historją równie bogatą i — równie krwawą, jak Mombasa, na którą patrzymy właśnie.

Odkryte w wiekach średnich przez Vasco de Gama, imię którego nosi dziś główna ulica miasta, Mombasa zdobywana była przez Portugalczyków, oblegana i odbierana znów przez Arabów pięć razy, aż zajęta w 1887 r. przez Anglję, błogosławi rządy jej do dzisiaj.

Jedno z oblężeń trwało trzydzieści trzy miesiące, zanim załoga, wyczerpana głodem, chorobami i licząca wkońcu jedenastu mężczyzn i dwie kobiety, zmuszona była uledz i wymordowana została przez Arabów.

Śladów epoki tej i zabytków panowania Portugalji Mombasa posiada dużo dziś jeszcze. Prócz nazwy ulicy i drogocennych drzew mangowych, przywiezionych przez marynarzy portugalskich z Indji, pamiątką szczególnie ciekawą jest, zamieniona dziś na więzienie, stara cytadela „Jezus", zbudowana, jak głosi napis, „na chwałę Bożą" przez Ekscellencję Don Franciszka de Cabreira w XVI wieku, kiedy Portugalja zawładnęła wyspą po raz trzeci i utrwalić na niej próbowała swe panowanie.

Dotąd nad głównem wejściem widnieje herb Habsburgów ze splątanemi na tarczy literami imienia Jezus. Zgodnie z tradycją dynastji, która ciemiężyć i grabić zwykła pod płaszczem apostolstwa i pod znakiem krzyża, imię Tego, który cierpiał za uciśnionych, na murach cytadeli „Kisiwa M'vita", „wyspy wojny", jak nazywają Mombasę krajowcy! Trudno o więcej krwawą ironję i większy cynizm, jak nazwa cytadeli!



Z Albumu Autora.

Żadne mury świata, żadne budowle, ludzką wzniesione ręką, nie widziały straszniejszych gwałtów i straszniejszych krzywd, wyrządzanych słabszemu, niż ten stary fort katolicki.

Aż do czasów angielskich wyspa słynęła jako odwieczne gniazdo handlu „żywym hebanem", dostawianym z wnętrza Afryki. Dogodny, łatwy do obrony, a ukryty port, nadawał się do celu tego doskonale. Jak sięgnąć pamięcią, zakute w łańcuchy, spędzano tam z głębi Czarnego Lądu tysiące niewolników, których ładowano w Mombasie na statki przychodzące po „towar" z Azji i z Ameryki. Na złowrogiej wyspie każda piędź ziemi przesiąkła łzami i krwią czarnych nędzarzy.

Krwawe koleje przechodziło miasto pod jarzmem arabskiem, zanim przeszło pod berło Anglji, pod której twardem lecz sprawiedliwem panowaniem nieszczęsne kraje odetchnęły; przekupniów ludzkiego towaru wytępiono, handel a przynajmniej wywóz niewolników ustał i dla czarnych krajowców inna, szczęśliwsza zaświtała era. Jak we wszystkich posiadłościach angielskich, w Protektoracie Wschodniej Afryki zapanowała sprawiedliwość i prawo, dla wszystkich równe.

Widomą oznaką systemu rządów angielskich jest najokazalszy na Mombasę całą gmach najwyższej na kolonję całą instancji sądowej *„High Court of Eas. Africa"*, w którym mieszkańcy, bez różnicy pochodzenia i barwy skóry, szukać przychodzą sprawiedliwości. Wychodząc z założenia (niedowiedzionego zresztą), że t. zw. cywilizacja umoralnia i człowiek cywilizowany lepszym być powinien niż człowiek pierwotny, angielskie prawo kolonjalne surowszem jest znacznie dla białego niż dla krajowca i za te same przestępstwa karze czarnego łagodniej niż europejczyka.

Na placu, przed pałacem sprawiedliwości, stoi posąg sir Williama Mackinnon, twórcy i prawodawcy Protektoratu.

Z chwilą przeprowadzenia kolei, łączącej Wielkie Jeziora z Oceanem, Mombasa, jako stacja krańcowa, a zarazem port i stolica otwierających się obszarów, znaczenia nabrała ogromnego.

Biali zjeżdżali tłumnie, zakładano misje różnych wyznań, pobudowano kościoły, hotele i banki. I zanosiło się, że pod samym równikiem, w Afryce, wyrośnie wspaniały gród egzotyczny, jak wielkie miasta w Indjach Wschodnich.

Na przeszkodzie jednak stanął niezdrowy klimat, który sprawił, że stolica, władze i urzędy przeniesione być musiały do zdrowszego Nairobi, o dzień drogi, na płaskowzgórza.

Mombasa podupadła, wyludniła się z białych i odgrywa dziś rolę portu jedynie i ważnego rynku, na którym dokonywaną jest wymiana produktów miejscowych na towary sprowadzone z Europy. Na stałe mieszka tu zaledwie trzystu białych: urzędników, konsulów, kupców i oficerów, którzy dowodzą małym garnizonem, rekrutowanym wśród czarnych.

Dbałe o przyszłość kolonji, władze angielskie prowadzą w Mombasie instytut doświadczalny i wzorowy szpital, w którym badane są naukowo choroby podzwrotnikowe, jak dysenterje, febry, a zwłaszcza, dziesiątkująca ludność w okolicach Wielkich Jezior, choroba snu.

Czarny żywioł miejscowy składa się z nawpół cywilizowanych i nawpół odzianych Suahili i z czarnych pierwotnych zupełnie, przynoszących na sprzedaż owoce, drób i ryby, lub ściągających z głębokiego wnętrza jako tragarze i dozorcy jucznych osłów w karawanach, albo wprost jako goście, chcący zobaczyć „kazi uleja" — robotę Europy.

Suahili pracują jako służba domowa, jako brukarze, ogrodnicy, murarze i wynajmujący „dżiriksze". Spotkać między nimi można i takich, którzy odczytać umieją wydawaną w ich języku miejscową gazetę.

Na pierwszy rzut oka czarni wszyscy, przychodzący z głębi Lądu, podobni są do siebie, jak krople wody, i odróżniać ich tylko można po sposobie c z e s a n i a głowy i po ubiorze, jeżeli nazywać tak można sznurki paciorków, naszyjniki, bransolety z drutu na rękach i nogach i, rolę ozdoby odgrywające tylko, wąskie przepaski w biodrach. Charakterystycznym zwłaszcza bywa strój włosów i świecidła w podziurawionych potwornie uszach.

Podobno europejczycy, którzy mieszkają dłużej w Afryce i przestają dużo z czarnymi, uczą się wkońcu odróżniać rysy twarzy i rozpoznawać typ plemie-

nia. Nie wszyscy noszą mitologiczny listek, choć nie brak drzew figowych rosnących dziko.

Wrażliwi na zachowanie pozorów, Anglicy rozdają darmo tanie czerwone derki, nazywane „americani", aby okrywać się niemi mogli czarni, wchodząc do miasta. „Waszenzi" jednak t. j. dzicy, jak nazywają krajowców wnętrza „cywilizowani" Suahili z wybrzeża, nie rozumieją dlaczego jedne części tego samego ciała gorsze być mają lub więcej *shocking* niż inne, których zakrywać nie potrzeba i, w intencję szczodrości władz nie wnikając, noszą derki jako... zawoje na głowach. Zyskuje na tem oczywiście malownicza i egzotyczna strona obrazu. Sposób więc pojmowania t. zw. przyzwoitości różni się tam znacznie od naszego i ośmielę się dodać, wydaje się więcej celowym. W odzieniu swem czarni uwzględniają raczej klimat i temperaturę, a nie, jak u nas, wszechwładną modę.

Gwałcąc pojęcia i nawyknienia, z któremi murzyn zrósł się od wieków, zimna litera prawa, zabraniającego stroju Adama, źródłem bywa nieporozumień homerycznych. Spotkaliśmy starego, ogromnego murzyna, który za cały strój miał parzystą część bielizny damskiej, brudną i podartą coprawda strasznie, lecz kroju modnego, szeroką u dołu, a nawet obszytą nad kolanami resztkami koronek i *risum teneatis* — włożoną naopak, „tyłem do przodu", jak mówią dzieci.

Nie idzie za tem, żeby czarny pozbawiony miał być zmysłu kokieterji i właściwej rodzajowi ludzkiemu skłonności do ulepszania i upiększania dzieł przyrody. Bynajmniej! Murzyn lubi stroić się, lecz inne ma pojęcie piękna.

Zasada *„pour etre belle il faut souffrir"* znaną jest na Czarnym Lądzie i stosowaną okrutniej jeszcze niż u nas. Czarne piękności i eleganci miejscowi noszą kolce z drutu ważące kilogram, na co nie odważyłaby się nigdy chyba moda w Europie.

Zdecydowany przeciwnik półśrodków, czarny przekłuwa ucho nie raz jeden, a cztery lub pięć i zakłada, nie jak nasze damy, nikłe perły albo kamyczki, lecz okazałe pałeczki z drzewa lub z kości, co istotnie nierównie większe sprawia wrażenie. Główną jednak rolę odgrywa przekłucie ucha leżące najniżej, które tak bywa rozciągnięte i przestronne, że, jak widziałem to sam, umieścić w niem można piękne, błyszczące pudełko od sardynek, albo spory słoik ze wspaniałym napisem złotym: *butter*.

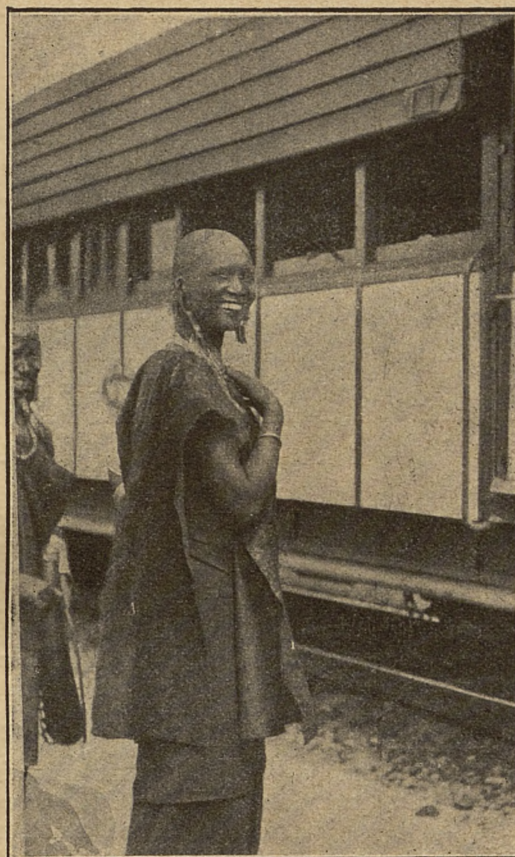
Nietylko więc zdobić się, lecz i cierpieć dla piękności czarni umieją, a odmienne ich wymagania estetyczne sprawiają, że strojów, które noszą, nie udźwignąłby zniewieściały biały człowiek. Z pewnością największa kokietka w Europie nie zgodziłaby się na wdziewanie bransolet ważących 20 funtów, tem więcej, że ozdoby te, zakładane w dzieciństwie, kiedy ramiona nie rozwinięte są jeszcze, wrzynają się potem głęboko w ciało.

Niestety, chwytanie osobliwości tych na klisze łatwem nie jest, bo różniąc się pod tym względem od białych piękności, hebanowe gracje fotografować się nie lubią i, nie przyjmując datków, odwracają się, albo krzycząc „hapana, hapana, pikczja!" (nie, nie fotografować), uciekają zawzięcie.

*

Rzemiosła, handel, a nawet mniej ważne urzędy w Afryce Wschodniej trzymane są w monopolu przez napływających tam z Indji Wschodnich przebiegłych a obrotnych Banjan i Goanezów, którzy rolę odgrywają tam naszej mniejszości i również są, jak ta ostatnia, lubiani i popularni. Na ulicy, w urzędach i na bazarach w Mombasie i w Nairobi tylu spotykałem Hindusów, jak gdyby miasta leżały nad Gangesem, a nie w Afryce.

Marki na poczcie sprzedał nam Goanez, buty, jakich potrzebował L., kupiliśmy w sklepie indyjskim, nasze błony fotograficzne, nawiasem mówiąc nieuszkodzone i w doskonałym gatunku, wywoływał Hindus czystej krwi, w haftowanej czapeczce na głowie i ze złotym kolczykiem w uchu.



Z Albumu Autora.

Jedyne w swoim rodzaju było atelier, w którem „operował", jak mówił z namaszczeniem; prawdziwie kolonjalne. Przylepiona do wielkiego budynku, jak gniazdo jaskółki, mała, sklecona z desek budka, obita niewyprawionemi skórami i pokryta dachem z liści palmowych. Wewnątrz zapach był nie do zniesienia, lecz proces wywoływania i utrwalenia udał się znakomicie.

Wolni od skrupułów, kupcy niezrównani, Hindusi w kolonji Wschodniej Afryki współzawodników nie mają prawie i wyzyskują naiwnych krajowców bez miłosierdzia.

Zagarnąwszy dalej monopol handlu kością słoniową, którą wysyłają na rynki wszechświatowe, uprawiając tajemną lichwę, dochodzą w krótkim czasie do dużych niekiedy fortun.

Godne widzenia są bazary indyjskie, w których, obok produktów miejscowych i charakterystycznych towarów, przywożonych z Azji, dostać można literalnie wszystko, co dostarczyć jest w stanie drobny przemysł europejski. Od igieł, nici, mydła, odzienia goto-

wego, tytoniu i konserw, do zegarków, rowerów i gramofonów, Hindus na składzie ma wszystko. Głównemi artykułami jednak handlu bazarowego są, drogie sercu murzyna, świecidła, wzorzyste perkale, drut różnej grubości, fezy, noże itp.

Po większych miastach znaleźć można w sklepach, kupowane chętnie przez białych turystów i przez myśliwych, powracających do kraju, różne osobliwości miejscowe, jak: skóry, rogi, broń, ozdoby i sprzęty używane przez krajowców, tkaninv z kory drzewnej, a nawet kolekcje motyli i żywe ptaki.



Z Albumu Autora.

Obok handlu Hindusi zajmują się również i rzemiosłami: garncarstwem, ślusarstwem, wyrobem błyskotek z żelaza i miedzi, a zwłaszcza krawiectwem, w którem celują podobno. Byle dostarczyć im modelu i tkaniny, uszyć potrafią kostjum, nie różniący się prawie od odzienia robionego w Europie i, co dziwniejsze jeszcze, dostarczają go na termin, czem nie pochwali się przeciętny krawiec w pewnem, dobrze mi znanem mieście.

Ciasne, przeludnione dzielnice, zamieszkiwane przez Hindusów, wspólnego mają dużo z naszemi Ghetto i niemniej są brudne i cuchnące. Stale też grasują w nich różne zarazy, jak tyfus, dysenterja, a nawet cholera azjatycka i dżuma, przywożona przez Hindusów z wiecznie zakażonej ojczyzny. Sąsiedztwa więc dzielnic indyjskich biali unikają, jak ognia, i mieszkać od nich starają się jaknajdalej.

Obok ludności ubogiej, widziałem w Bombasie rodzinę Hindusów bogatych, w powozie, jakiego nie powstydziłby się Lasek Buloński. Powozem jechały trzy damy ze złotemi świecidłami w nosach; starsza i dwie młodsze, ubrane jak tęcza, do cyganek podobne Banjanki. Dzięki rzeźbionym subtelnie, regularnym rysom i cudownym, czarnym oczom, obiedwie uchodziłyby wszędzie, mimo ciemnej cery, za skończone piękności.

Kobiety tej sfery chowane są na sposób prawie europejski. Mówią po angielsku, po francusku i, niestety, grywają nawet na fortepianie. Zachowują jednak obyczaj noszenia złotych ozdób w nosie i tkanin jaskrawych, w których, nawiasem mówiąc, wyglądają prześlicznie.

Na ulicy w Mombasie białych spotyka się mało, o chłodzie tylko i nigdy pieszo, a zawsze w ludzkim tramwaju lub w „dżirikszy". Tak każe, arcywygodny zresztą wobec gorąca, obyczaj miejscowy.

Anglicy twierdzą, że biały uchodzić powinien w oczach krajowca za istotę wyższą, której przysługują inne prawa, która męczyć się nie potrzebuje i której dokuczać nie wolno nawet słońcu. Biały więc nie chodzi pieszo, nie nosi najlżejszych nawet przedmiotów i, oprócz sportu, nie styka się z niczem, co charakter ma wysiłku albo fizycznej pracy. Idąc na wieczorny tennis, Anglik nieść każe rakietę czarnemu boy'owi, który nie odstępuje go na krok. Prawda, że służba tak jest tania, że boy'a ma tam każdy biały bez wyjątku.

*

Uciekając przed upałem, który dokuczać poczynał już na dobre, do hotelu wróciliśmy wcześnie, zanim podano drugie śniadanie.

W hall'u i na ulicy czeka kilkunastu czarnych boy'ów, shikarich, skiner'ów i kucharzy, którzy przyszli umawiać się z podróżnymi z Burgmestra, udającymi się dalej, w głąb lądu. Myśliwi, oficerowie i urzędnicy, ubrani już do pochodu, po obozowemu, oglądają brudne świadectwa, rozpytują się, targują, aż wreszcie, znalazłszy odpowiednich ludzi, oznaczają dzień startu i płacą zadatki. Prawdziwa osobliwa giełda.

Niektórzy, kierując się do okolic, do których kolej nie prowadzi, wyruszają karawaną już wprost z Mombasy; inni, jak my, spotkać mają tragarzy swych później dopiero, na jednej ze stacyj, i zabierają tylko służbę obozową i strzelców.

Gorączkowy, podniecający nastrój, jaki poprzedzać zwykł wielkie podróże i wielkie przygody, jest w powietrzu. Już nieobecni myślą, wszyscy żyją oczekiwaniem jutra i uchylić chcieliby jaknajśpieszniej rąbek zasłony, która jutro to zakrywa.

Patrzę, słucham ciekawie i, kołysząc się na fotelu, myślę z rozkoszą, że przygotowania te i zabiegi są już poza nami, że załatwił je za nas ktoś inny.

W rozmowach, które mnie dolatują, powraca wciąż wyraz „safari". „Safari". Tak, więc to już „safari", to wstęp do zaczarowanego świata wrażeń, w którym niezadługo tonąć będziemy wszyscy. Magiczne słowo, budzące w wyobraźni szeregi całe obrazów mglistych jak przeczucia, a pięknych, jak marzenie. „Safari", to szmat życia na swobodzie wśród przyrody potężnej, pierwotnej.

(D. c. n.) STANISŁAW ZABOROWSKI

ZGUBIONE SZLAKI

Hop — hop! Ho — hoo!...

Szliśmy na cietrzewie toki, kiedy z głębokich mroków uśpionego lasu dobiegało nas to znane nam, odległe wołanie.

Znów drze się — mruknąłem. Ale chłopcy nie zwrócili na nie żadnej uwagi. Przywykli. A zresztą — odgłosy leśne... ktoby sobie niemi głowę zaprzątał: napewno puszczyk. Oni zaś myśleli o cietrzewiach, żeby się nie spóźnić na toki...

Jest takie miejsce w lesie — tuż za kamiennym mostkiem i łąką — gdzie, kiedy przed świtem niebo zaczyna sinieć, wśród wielkiej, nieruchomej ciszy odzywa się naraz ten głos. I posępny, żałosny, sieroco samotny woła gdzieś w pustkę: hop-hop!.. Las jest jeszcze nieprzenikniony, zawleczony czarną tajemnicą cieni, a w miejscu łąki leży jezioro siwej mgły. Wszystko od ziemi do nieba zapadło w nicość, umarło w milczeniu, tylko to coś woła i woła... Na alarm, na trwogę, czy na pomoc?.. Nie odpowiada mu nikt.

Droga w tem miejscu jest paskudna po nocy. Pod drzewami jest czarno, jak w smole. Rzadko rozsypane płomienie księżycowego światła tylko łudzą i mylą oślepione oczy. Dołem zaś pełno zasadzek: co krok — to wyrwa, to korzeń, to pień. I przytem wciąż to zagubione gdzieś wołanie: — hop — hop!

Słyszałem je już nieraz i nigdy nie mogłem rozpoznać po głosie: puszczyk, czy człowiek? — Myślałem początkowo, że to Juljanna — ta niespełna rozumu, co błąka się po okolicy i główną kwaterą stoi w lesie. Gdy ją więc kiedyś zdybałem, szperającą pracowicie w dziupli spróchniałego drzewa, zapytałem o to nocne hukanie. Zaklęła mi się jednak, że to woła całkiem ktoś inny, nie ona. Za nic tylko nie chciała powiedzieć kto. Machała niechętnie ręką i ostrzegała, żeby nie iść nigdy za tym głosem, bo zawiedzie w bagna, bagna, bagna... W taką noc, w której nigdy niema świtu; w której duszyczki płaczą...

Więc skoro nie Juljanna, to widać rzeczywiście puszczyk... Niech sobie... Tylko że jakiś dziwny ten głos i nieprzyjemnie kiedy tak woła.

Goniło nas jeszcze długo owo niemilknące nawoływanie, to zamierając, to się wzmagając: raz jakoby rozpaczliwe i pełne błagania, to znów gwałtowne i zagniewane — póki nie wyszliśmy z lasu na Wypalonki, gdzie było rozstanie. Chłopcy pobiegli jeszcze dalej, ja zostałem ukryty pod świerkiem, przywarty bez ruchu do pnia, w oczekiwaniu na poranne pieśni cietrzewi.

Już truchleje i blednie ciemność. Rozsuwają się nieznaczne zasłony. Coś powstaje, coś zaczyna się dziać przed oczami. Błękitnieje przestrzeń. — Świt...

Ziemi jeszcze nie widać poprzez skłębioną mgłę. W górze tylko zamajaczą chwilami jakieś urywki wierzchołków, jakieś rosochate, rozchełstane cienie i wnet płynnym ruchem zanurzą się w falach tumanu. Ale niebo już wyszło z chaosu. Na wschodzie leżą sine chmury, nasiąkające miedzianą łuną o chłodnych, przyćmionych odblaskach, a na samym szczycie ostatnie gwiazdy, blade z tęsknoty, zapatrzyły się w uchodzącą noc. Wspinają się ku nim z padołów zjeżone mleczne grzywy, wywijają się blade wstęgi, strzelają postrzępione pióropusze widmowych kit. Tłoczą się, uderzają, ogarniają je, szamocą się, póki nie zgaszą im reszty światła w oczach. Rusza wtedy od ziemi cała lawina. Mgła rozwleka się, rozciąga; polatuje — jakby na jakieś niedosłyszalne komendy — i szeroką, nieprzebraną masą podnosi się wzwyż. U spodu roztoczyły się Wypalonki.



Na ciąg słonek. Fot. T. Pacyna.

W szarem pustkowiu po niegdyś spalonym lesie, w rozległej krainie badyli, chwastów i bezładnych zarośli niedołężnie dźwiga się śniady dzień. Rozgląda się martwo po wątłych gromadach zabłąkanych sosen, po jałowych piaskach karczowisk, po skołtunionych chróśniskach, po zeschniętych wrzosach. Bezdroże... Głusza... Pustka... Niby zatracony nędzarz, co opuszczony od świata padł pod ciężarem ostatniego pozostałego mu na grzbiecie łachmana, leżą Wypalonki — nieogarnięta przestrzeń niedoli. Srogą przegrodą oddzieliła je od nieba nawała mgły ślepej, broniąc dostępu promieniom życia.

Lecz oto wschodzi zorza. Wybucha słońce na skraju nieba — i oto już w oddali przemknął zielony uśmiech po lesie. Jeszcze tylko chwila — a rozproszą się przyziemne cienie, zamruga tęczami rosa, zakrzyczą postrojone w jedwab i korale cietrzewie i z junacką ochotą gruchnie hołupcem nieprześcigły strzał. Przyklasną mu rozbawione echa — i zacznie

się huczne wesele na zapomnianych dotąd rozłogach. Poniektóry strojniś potoczy się ululany czerwonem winem, ogarnięty na amen krasą słońca, przestrzeni i miłości. Poniektóry poleci, gdzie wola — śpiewać odnowa i dreptać buńczuczny, napuszony tan... Na Wypalonkach — hej! — będzie wesoło! Ho... Hoo!..

...Czy to kto woła?..

Nie... Tylko słońce uwięzło w sinej chmurze... Zalewa je, zatapia mgła. Gaśnie. Odchodzi. Znów jeno mgły. Robi się buro. Zaczyna siąpić deszcz...

Popłakuje drobniutko, pokutnie, beznadziejnie. Rozmazuje łzy po rudej glinie, prószy niemi w krzaki, ociera je we włosy nasępionych drzew. Zanosi się coraz mocniej, ciurka i chlipie. Ciemne, zwaliste niebo przypadło do horyzontu. Gorzki żal bierze w zimne objęcia we łzach skąpaną pustkę i zastygają w zapamiętaniu nad Wypalonkami. Wszystko zapływa mętem ulewy...



Cietrzewie na tokowisku. Z drzeworytu J. Kirilenki.

Już dobrze nasiąknąłem wodą i złość mnie brała na chłopców, że gdzieś przepadli zamiast wracać coprędzej — skoro widać, że polowanie na nic — kiedy nareszcie doleciało mnie ich dalekie nawoływanie: hop! hop! Kierując się na głos, popędziłem do lasu; i właśnie w chwili, gdy nasłuchiwałem, skąd idzie hukanie, spostrzegłem ich tuż obok w zagajniku, chowających się przed deszczem.

Stanąłem zdziwiony: „Przecież przed chwilą jeszcze hukaliście gdzieś daleko?"

Ale oni, mokrzy i osowiali, odburknęli, że wogóle wcale nie wołali. „Wcale — słowo honoru".

Hm... Wszakże puszczyk nie krzyczy za dnia...

Niepewnie rozglądamy się wokoło. Las stoi pusty, mokry, ciemny, otulony smugami dżdżu. Szumi ponuro w ulewie, huśtając bezwładnie obwisłe gałęzie choin...

Las jest ogromny, samotny i niedocieczony.

U brzegów lasu kończy się ludzki świat. Świat ludzkiej wiedzy. Świat przemijających kształtów. Świat, co rodzi się, krząta, śpieszy i znika. Świat, rozpadający się w nicość, kiedy dmuchnie wiatr czasu albo przygody. Dzisiaj umorusany dymami fabryk, zatruty wyziewami aut, rozterkotany wrzaskami radja; wczoraj zasnuty smugami kadzideł, wyjący od morów, kolorowy od klechd.

Kiedy staniesz w cichości lasu i z górzystego jego krańca spojrzysz w dal — nie dojrzysz żadnych spraw drobnych. W słonecznej modrości przestworza zobaczysz z jednej jego strony dwie białe wieże: w podziemiach tego kościoła leży rząd mnichów w zmurszałych habitach. Memento!... Od drugiej jego strony — tuż za ostatniemi drzewami — rozległy kurhan z kamienną figurą, na której pod obrazem Matki Boskiej za całą wiadomość wyryty rok 1648. Res Publica... Od jeszcze innego brzegu sinieje w kurniawie Bąkowa Góra, gdzie ongiś siedział na skarbach mnogich sławny i srogi zbój Bąk. Wielmożność losów... U tych progów duszy ludzkiej rozłożył się na straży las i przez zmienne koleje życia, niby przez powierzchnię wody, wśród niezmąconej ciszy zapatrzył się w jej głąb. W wieczystość duszy. I wchłania ją w siebie. Jej ciszę, jak i jej krzyk.

A jako słyszałem od ludzi starych — zdarzyło się tu niegdyś tak:

Stary pan bardzo miłował swego syna — krew krwi swojej i duszę duszy i jedyną nadzieję skołatanego żywota. Aż kiedyś zagrały trąbki — nie myśliwskie, jeno wojskowe — i panicz poszedł, a pan został sam. I nie zobaczył już więcej syna. Jeno, gdy pewnego rana zaczęły bić działa pod lasem, widział zdaleka szeregi, umundurowane tak właśnie, jak on — gdy weszły do lasu; i widział jak las zachwiał się i zapłonął, i jak wśród iskier, dymu i grzmotu waliły się w nim czuby drzew. Więc poszedł szukać syna. Chodził po lesie długie dni i noce i nawoływał. Lecz nie odpowiedział mu nigdy nikt. Snać syn nie słyszał jego wołania.

Ale słyszał je las. A wołanie to musiało być z największej głębi duszy.

K. SĄCHOCKI.

Szan. Prenumeratorów prosimy o łaskawe szybkie odnowienie prenumeraty na rok 1939, I półrocze, II kwartał, lub na miesiąc maj.

Przypominamy, że cena prenumeraty została na r. 1939 znów obniżona.

Administracja.



Przed wodowaniem. Fot. A. Dobrski.

OHAR I UHLA

Duże, ciężkie płaty, zasypujące miasto białym całunem śniegu, przechodziły w coraz to mniejsze i rzadsze. Szalejąca zadymka malała, cichła. Mleczne światło latarni coraz to jaskrawiej przebijało z za mgły wirujących, skrzących się kryształków i miękką, jakby księżycową poświatą roztaczało się dokoła dworca. Od czasu do czasu śnieżyca rzucała ostatnie już garście srebrzystego pyłu. W snop światła, płynącego z dużej, okrągłej lampy, wjechała dorożka i zatrzymała się u wejścia. — Ośnieżony cały, jakby białym puchem pokryty, wysiadłem z małych saneczek.

Wyszedłszy na peron, z łatwością odnalazłem wagon z napisem: Moskwa - Batum. Znalazłem się sam w dwuosobowym przedziale, a za kwadrans pociąg już mknął całą siłą pary. Za każdym niemal obrotem kół dążących ku południowi pogoda stawała się coraz ładniejsza, aż skrzyło się niebo gwiazdami, po szalejącej niedawno śnieżycy pozostał tylko miękki całun srebrzystego puchu, świeży, niepokalanej bieli. Rozsrebrzyła się ciemna toń nieba, rozświetliła mgłą opalowej poświaty i cicho księżyc wypłynął, i mknął coraz dalej, i bladł. Rysował dziwaczne cienie chaotycznych plam, bawił się śniegiem, zapalając kolorowe ogniki jego małych kryształków.

Niekiedy snop iskier, rozdarty pędem, szalał chwilę za oknem i opadał w śnieg miękki, którego płatki beztrosko śmiały się do gwiazd, rozsypanych dokoła pełni księżyca.

Wygodnie wyciągnięty na miękkich sprężynach pulmanowskiego wagonu, kołysany rytmicznem warczeniem kół, zapadałem powoli w dziwnie błogi półsen. Majaczyły mi się góry, które za dwa dni miałem ujrzeć, djamentowy w słońcu szczyt Elbrusu, lub purpurowy o zachodzie Kazbek; w niebieskie mgły spowity auł, srebrzysta wstęga rzeki, rozległe błota — istne kacze Eldorado — gdzie, zwłaszcza w czasie przelotu, można spotkać chyba wszystkie istniejące gatunki; porosłe krzakami wzgórza, gdzie tyle razy polowałem na piękne długodzioby — słonki, wspaniałe bażanty, a często i lisy; szafirową mgłą cienia spowity bór, w tajemniczym gąszczu którego kryją się liczne dziki, a i niedźwiedź też nie jest rzadkością i wiele, wiele jeszcze innych obrazów tego zaczarowanego zakątka rysowało się w niej pamięci, lecz w coraz to bledszych barwach, coraz dalszych i mglist-

szych, aż zlały się wszystkie w jeden mętny obłok i sen na dobre mną owładnął. A gdy się obudziłem, dzień już panował w całej krasie zbliżającego się południa.

Minęła jeszcze jedna noc i kiedy późno już otworzyłem powieki, jakże inny krajobraz ukazał się mym oczom. Śnieg, gdzieniegdzie już tylko widoczny w północnych wgłębieniach wzgórz, brudnemi, nielicznemi plamami majaczył na szarozielonem tle stepu, aż wreszcie i ślad jego ostatni zaginął, ustępując miejsca świeżej zieleni tu i owdzie ukazującej się trawy. Z mgieł dali wyłania się morze, do którego zbliżamy się szybko, a po kilku minutach zda się, że nas zabiją i porwą w bezkresną dal szmaragdowo-turkusowe fale, aż nagle pociąg skręca i mkniemy dalej wzdłuż brzegu.



Z Prypeci. Fot. R. Roguski.

Stacja Kajał. Wspaniałe, słynne na całą okolicę, olbrzymie raki, sprzedawane za bezcen, ułożone stosami na ogromnych półmiskach roznoszonych przez baby, zalegające niemal cały peron, czerwienią się już zdala, mile łechcąc podniebienie. Zgiełk, wrzawa, niezliczone ilości tych skorupiaków giną w oknach wagonów. Mija pięć minut, pociąg rusza i, coraz to szybciej pożerając przestrzeń, wpada przed oszklony peron w Rostowie. Mija trzecia, ostatnia noc, mija pogodny, różowy poranek i słońce, które wciąż biegnie coraz to wyżej i wyżej, tak jakoś beztrosko i wesoło bawi się snopem swoich złotych promieni, co tylko migają w oknach wagonu, lub gonią się wzajemnie tęczowemi plamami po wzorach obicia przedziału, jak barwne jednodniowej złudy motyle. W oddali zarysowują się faliste wzniesienia, a za niemi zgęszczoną mgłą owiane majaczą góry, osnute niebieską zadumą. Jak z poza gazy, wyłaniają się mętne kontury i, jak obłoki, pnąc się ku niebu, giną gdzieś hen, wraz z obłokami i szybującemi nad niemi orłami. Zapatrzony w dal, spostrzegam wreszcie tak dobrze mi znaną okolicę — zbliżamy się do Groznego, celu mej podróży.

Dwa dni temu wyjechałem z Moskwy w śnieżną zadymkę, wichurę i mróz. A tu na stacji czeka mnie powóz zaprzężony w trójkę rączych rumaków: w dyszlach ogromny kary rysak, po bokach dwa gniade, szalone, półdzikie, stepowe koniki. Na koźle, życzliwie uśmiechnięty, wita mnie woźnica, ubrany w ciemno malinową koszulę z szerokiemi rękawami i czarny, aksamitny kaftan, bez rękawów. Ciepło, pogodnie, nigdzie ani śladu śniegu, kobiety w lekkich płaszczach, mężczyźni w kolorowych czerkieskach, wysocy, zgrabni, sprężyści. Szybko przejeżdżamy przez miasto — przed mojemi oczami rozściela się step. Wierzyć mi się nie chce, że nie śnię, że znowu jestem w potężnej jego mocy. Budzą się wspomnienia i w oczach, jak żywe, zmartwychwstają obrazy prześnione tu na jawie. Niepostrzeżenie mija godzina, niepostrzeżenie ucieka 12 wiorst drogi, a wkoło nas piętrzą się wieże naftowe — i oto już jestem w gościnnym domu wujostwa.

Nad wyraz wesoło, miło i szybko zeszły mi święta Bożego Narodzenia, spędzone w ciepłej, pogodnej atmosferze, roztaczającej się wkoło zacnej, uśmiechniętej postaci mej ciotki i w wytwornem towarzystwie ś. p. wuja — człowieka starej daty, par excellance myśliwego i niezastąpionego causeur'a, który nie skąpił nam interesujących opowiadań przygód myśliwskich z czasu swej młodości. Po szumnym i hucznym Sylwestrze, pierwszy dzień nowego roku zastał nas sumiennie i pracowicie przetrząsających błota, odległe o ponad 20 wiorst od domu, w pobliżu rzeki Aładynki.

Polowaliśmy w pięciu: z bratem, kuzynem i dwoma jego kolegami, w okolicy Ałchan-Jurtu. Tuż za aułem ciągnęły się olbrzymie błota, rowy, strumyki, bagna przepełnione licznemi o tej porze stadami najrozmaitszych kaczek i ptactwa błotnego, które się tu zleciały z całego chyba świata. Polowaliśmy bez czółna, bez psa, bez naganki — ot tak, jak się czasem chodziło na pomyka. Brat mój i nieodstępny w tego rodzaju wyprawach Czeczeniec, Abduł, udali się naprzód z zapasem żywności i amunicji, by w umówionem miejscu przygotować „obiad".

Myśmy się rozeszli i poczęliśmy plądrować po krzach i szuwarach, brodząc w wodzie narazie po kostki i zapadając się po kolana niekiedy. Od czasu do czasu rozległ się wystrzał, lub dwa szybko następujące po sobie. Wtedy ciężka krzyżówka, mała cyraneczka, czarnogłowa, czubata czernica, lub szaro różowy świstun odrywał się od stada i ciężko uderzał o ziemię. W miarę jak słońce dobiegało południa, a myśmy się zapuszczali coraz to dalej, błota stawały się głębsze, przejścia trudniejsze, krze i szuwary gęstsze; woda sięgała kolan, a niekiedy i pasa. Lecz także i strzały huczały częściej i liczniej, przechodząc chwilami w zwartą kanonadę. Nie stada, lecz chmary wprost całe, zrywały się co chwila z łoskotem, szumem i świstem. Unosiły się i kłębiły skrzydła przeróżnych barw, czarno-pstre i siwe plątały się z sobą, kasztanowate, białe i rdzawe gmatwały się chaotycznie; lustra błyskały kolorami tęczy, wirowały ptaki różnej wielkości. Istny szał obłąkańczy, dziki tan śmiertelny, potępieńcza orgja trwogi. Jedne się zry-

wają, drugie opadają tuż zaraz, nadlatują z boku, z tyłu, ciągną nad samą głową, kręcą się przed lufami, jakby prosząc o strzał.

Nie tracimy jednak z kuzynem panowania nad sobą, wybieramy co przedniejsze barwą okazy, gdy pozostali towarzysze strzelają już niemal naoślep. Strącają kaczki, kulony, bekasiki, brodźce, chociaż coraz to częściej rezultatem tej strzelaniny jest tylko huk i mały obłoczek sinawego dymu. A nam łaska oczywista św. Huberta sowicie wynagradza zimną krew i rozwagę. Daję oryginalnego dość dubleta. Pada cały biały, z czarną plamą na bokach głowy, czarnemi plecami i lustrem, nieco większy od cyranki, bielaczek, oraz płaskonos z długim czarnym dziobem, rozszerzonym na końcu, żółtemi nogami, ciemno-zieloną głową, popielato błękitnemi skrzydłami i zielonem lustrem. Zaledwie uszedłem kilka kroków nadleciały trzy kaczki — wybrałem jedną z długim szydłowatym ogonem i na daleki dystans ściągnąłem ją drugim strzałem. Był to kaczor lodówki w zimowem upierzeniu, biały, z czarną plamą na piersiach, czarnym grzbietem i pokrywą skrzydłową.

Gdy dotykałem cyngla, widziałem zukosa, że nad kuzynem przeciągał wielki ptak, a strzały nasze padły jednocześnie. Zabrawszy swą zdobycz, zbliżyłem się do niego w chwili, gdy właśnie podnosił czaplę modronosą, płowo żółtą, o czysto białym brzuchu, z dużym w białe i czarne pasy czubem i modrym u nasady dziobem — trofeum dość rzadkie, a więc pożądane. Lecz nietylko tem mógłby się pochwalić, miał bowiem wśród licznej zdobyczy dużego, ciemno kasztanowatego ibisa, z zakrzywionym dziobem, oraz po raz pierwszy przez nas widzianą, nieznaną kaczkę brudno brunatnego koloru, z dużą białą plamą za uchem i przed okiem, z płetwą na tylnym palcu, wielkości krzyżówki.

Wypaliwszy papierosa i odpocząwszy nieco, udaliśmy się każdy w swoim kierunku. Lecz nie uszedłem pięćdziesięciu kroków, gdy nad krzakami gęstej łoziny ukazała się duża sylwetka nisko ciągnącego ptaka. Strzeliłem, gdy mi ginął już z oczu, a że po strzale nie ukazał się więcej, jąłem się przedzierać przez gąszcze ku miejscu, gdzie mógł przypuszczalnie upaść. Ledwie dotarłem do środka zarośli, ukryty ze wszech stron całkowicie, nad głową ukazały się kaczki. Dwa ładunki posłałem za niemi i kasztanowata podgorzałka, oraz siwa głowienka z czerwono bronzową szyją, runęły w krzaki. Znalazłszy obie, choć z trudem, posuwam się w kierunku, gdzie mi zginęła uprzednio strzelona gruba sztuka i niebawem znajduję ją. Jest to stara czapla purpurowa z piękną białawo rdzawą brodą na wolu. Już mam się wydostać z tych gąszczy zalanych wodą, gdy rozlegają się dwa bliskie strzały kuzyna i prawie jednocześnie nadlatują nade mnie kaczki tak blisko, iż z łatwością poznaję duże, podobne do krzyżówek, pstre od spodu krakwy, połyskujące białem lusterkiem. Strzelam z przyrzutu, padają dwa ptaki... i ja. Ześlizgnęła mi się noga i zanurzyłem się w lepkiem, grząskiem błocie po pachy. Szczęśliwie jedną ręką uniosłem strzelbę do góry, zaś drugą, schwyciwszy się krzaku, jednym susem wyrwałem się z chłodnego uścisku. Zimna kąpiel pod odkrytem niebem w pierwszym dniu stycznia — to nie prysznic w ciepłej łazience. Wstrząsnęły mną dreszcze, ząb zadzwonił o ząb, zapomniałem nietylko o kaczkach, lecz nawet o własnem imieniu.

Klnąc nie na żarty, ociekający wodą i zziębnięty, wydostaję się wnet na szeroką, suchą płaszczyznę, zebrawszy przedtem nieszczęsne krakwy. Nadomiar złego zamokły mi papierosy i kilka ładunków, więc z rezygnacją pociągnąłem dobrze z manierki. Ożywczy koniak wrzącą lawą rozszedł się po żyłach i błogie ciepło wypełniło członki. Pociągnąłem raz jeszcze i przywołałem kuzyna, by poczęstował mnie papierosem. Nie wziął mi tego za złe, chętnie opuścił błota i sam zaproponował, by dalej iść po suchym brzegu, gęsto porosłym krzakami, jałowcem i zeschłą wysoką trawą.



Krajobraz z Pińszczyzny. Fot. J. Bończa Markowski.

Salwy kolegów stawały się coraz rzadsze i dalsze, a i my, niestety, posuwaliśmy się czas dłuższy, nie spotykając żywej istoty. Natomiast brat dawał znać o sobie: — doszedł nas odgłos dwu dalekich strzałów. Sprzykrzyło mu się widocznie kucharzowanie i kunszt kulinarny na myśliwski zamienił. Przypomniało nam to jednak, że czas już zbierać się na obiad, czemu puste żołądki skwapliwie przytaknęły. Zdecydowanym więc krokiem ruszyliśmy w kierunku, skąd ledwie dostrzegalnym słupem unosił się w górę sinawy dym, wołając na towarzyszy. Lecz, że *„l'appetit vient en mangeant"*, zasmakowali oni tak w strzelaninie, iż o powrocie i przerwaniu jej ani słyszeć nie chcieli. Jakoż istotnie wzmogła się niebawem, nowe zastępy kacze rwały się co chwila i zawracały w bok ku nam. Ukryliśmy się w krzakach, a nad nami wnet poczęła się istna powietrzna defilada. Stada mknęły zwartym szeregiem duże, małe, sztuki pojedyńcze, niemal bez przerwy. Myśmy też mieli prawdziwy *ambarras de choix*, tylu gatunków i odmian naraz nie spotkałem jeszcze przez cały czas służby w szeregach św. Huberta.

Szczęście nam sprzyjało, nie nadążyliśmy chwilami nabijać broni, lufy parzyły, a strącone ptaki padały gęsto, przeważnie dwójkami, zwłaszcza nad stanowiskiem kuzyna, który już z rzędu dał kilka ładnych dubletów na daleki dystans. Padały oczywiście i sztuki pojedyńcze, zdarzały się też, na szczęście rzadkie, pudła. Zdobycz była tak liczna, że chociaż kaczki wciąż szły pod strzał, chociaż wcale nie zamierzałem być *plus catholique que le pape*, nie mogłem chwilami strzelać — poprostu żal mi ich było. A że za rekordami nie goniłem nigdy, uważając je za rzemiosło, za *quantité négligeable* — godną chyba Hrebnickich z So-

bola i Panny — poprzestawałem jedynie na obserwacji.

Powietrze było tak przejrzyste, że wzrok łatwo wybiegał poza swe granice. Wysoko w błękicie dwa orły zataczały kręgi. Jeden z nich zawisł nade mną, trwał chwilę w bezruchu i poszybował w dal. Wolny pan przestworza — on też szuka czegoś, rwie się, goni może za szczęściem, ma swoje troski, skoro nie spocznie w skwarze południa, żyje i chce tego życia w całej jego pełni, pożąda jego tętna, pulsuje ono w nim i płonie, woła o byt, o walkę, o ruch. A może tęsknota za czemś, wyrzuty sumienia, niepokój, prężą jego potężne skrzydła do lotu, do ucieczki przed samym sobą w nieobjętą dal.

Lecz, że *du sublime au ridicule il n'y a qu'un pas*, że nie poto wybrałem się ze strzelbą, by rozstrząsać sumienie, a zresztą i kaczki wciąż nad głową ciągnące zbyt już drażniły namiętność myśliwską — znowu się wziąłem do pracy. Po pierwszym strzale spadł piękny gągoł, o tyle pożądany, że już dwa zestrzelone uprzednio zginęły, gdyż nurkują wspaniale i tak daleko płyną pod wodą, że odnaleźć jest niepodobna. Strzał drugi, trzeci i następne nie były też bez skutku. Aż wtem zauważyłem, że mi pozostało tylko trzy ładunki, więc nolens volens musiałem pomyśleć o opuszczeniu tak dobrego stanowiska. Kaczki też nie ciągnęły już tak licznie.

Po dłuższej chwili, jakby na pożegnanie, nadleciała z oddali pojedyńcza sztuka, jakaś inna, większa od krzyżówki, mocno białem połyskująca. Strzeliłem na trzydzieści kroków i padła w ogniu. Był to ohar, kaczka istotnie bardzo rzadko spotykana, a widziana przeze mnie po raz pierwszy i ostatni, niestety! Miała zakrzywiony czerwony dziób z dużym guzem, cieliste nogi, głowę i smugę na brzuchu czarne, kasztanowatą pręgę przez plecy i pierś, duże lustro czerwono zielonem połyskujące, resztę sukni białą. Kuzyn, który ją zauważył zdaleka, podszedł do mnie natychmiast i po dość szczegółowych oględzinach udaliśmy się, tym razem nieodwołalnie, na obiad i słusznie należący się nam odpoczynek.

Każdy miał co dźwigać, rzemienie piły i obciągały plecy, mimo to szliśmy raźno, zadowoleni obfitym i pięknym rezultatem. Niebawem przyłączył się do nas brat, który, jak przypuszczałem, zostawił „kuchnię" na opiece Abduła, a sam przetrząsał okoliczne krzaki. To też miał trzy zające, bażanta mongolskiego, bardzo ładnego koguta, i kilka turkawek.

Po kilku minutach drogi byliśmy u celu. Na małym pagórku, pod dużą polną gruszą, Abduł szykował obiad — arcydzieło kulinarnej swej sztuki: szaszłyk na rożnie, szynka z niedźwiedzia, półgęski i herbata z winem. A że i koledzy nadeszli, z czystem sumieniem zabraliśmy się do jedzenia i gdy ostatni kawałek zniknął w żołądku, zaczęliśmy oglądać naszą zdobycz. Kuzyn, nietylko miły gospodarz, lecz rzetelny myśliwy i dobry strzelec, prześcignął nas oczywiście, aczkolwiek i ja miałem bardzo ładny rozkład.

Pokrzepieni nieco, bardziej jednak ociężali, wracaliśmy do domu. Szedłem wzdłuż bagna, po suchym, gęsto porosłym brzegu. Z pobliskiego burzanu zerwało się stado kuropatw i, uleciawszy kilka kroków, nagle zapadło, gdy jedna, oderwawszy się mknęła w trwodze przed siebie. Zaciekawiony mocno takiem zachowaniem się, natychmiast odkryłem przyczynę. Jak błyskawica, z nieba spadł na nią ptak wielkości myszołowa, lecz w tej chwili, gdy jej już dosięgał, strzeliłem. Padł ciężko na ziemię wraz ze swą niedoszłą ofiarą, którą, niestety, dosięgła widocznie jakaś śrucina. Był to krótkoszpon, co mnie mocno zdziwiło, gdyż ptak ten przeważnie karmi się wężami i jaszczurkami. Niepodobna jednak własnym oczom nie wierzyć.

Wzbogacony o jedno jeszcze doświadczenie, ruszam dalej. Na lewo rozlegają się strzały kuzyna — widzę, jak daje ślicznego dubleta do kaczek, ciągnących na sztych, za nim mój brat strąca jedną, sekundują im koledzy — i wnet ożywiają się błota. Nademną przeleciało wysoko pięć sztuk, za niemi jeszcze cztery. Wysunąłem się więc nieco naprzód i ukryłem się w krzakach na czatach. Niestety, bezskutecznie, kaczki szły daleko i wysoko, a towarzysze wciąż strzelali. Opuściłem więc kryjówkę, a zaledwie dwa kroki uszedłem, z pod samych nóg pomknął zając. Gdy strzelałem do niego, porwała się z krzaków sowa błotna, z resztkami bekasa w szponach. Miałem więc do zanotowania jeszcze jeden, dość niezwykły dublet. Po kwadransie drogi, widząc jak ciągną kaczki, postanowiłem raz jeszcze ukryć się w krzakach, jak się okazało niebawem, bardzo szczęśliwie. Kaczki szły tak obficie, że po kilkunastu minutach miałem 11 sztuk różnych odmian.

Słońce powoli, uporczywie jednak, posuwało się ku zachodowi — musieliśmy się śpieszyć. Zebrawszy zdobycz, ruszyłem przed siebie. Nieco na lewo, okryte gęstą koronką krzewów, migało w słońcu małe bagienko, porosłe z dwu stron olbrzymią trzciną. Dobrze osłonięty, cicho zbliżyłem się doń. Wypatrywałem pilnie czas jakiś — zdawało się martwe, ani żywej istoty. Miałem już odejść, gdy na krańcu szuwaru rozległ się plusk wody, silny łopot skrzydeł i głośne kwakanie, a nad trzciną ukazała się ciemna sylwetka, szybko unosząca się w górę. Strzał przeciął jej lot, chwilę jakby zatrzymała się w miejscu i ukośnie się ześlizgnęła na kępę. Któż opisze moje zdziwienie i radość! Po raz drugi w tym dniu podniosłem absolutnie mi nieznaną kaczkę: wielka, całkowicie czarna, z białem tylko lusterkiem i białą plamką w formie półksiężyca na okiem. — To uhla, samiec takiej brunatnej kaczki, jaką przed obiadem upolował mój kuzyn. Ucieszony tak miłą niespodzianką, posuwam się ochoczo, czas dłuższy jednak bez strzału. Aż nadciągnęły cyranki i jeszcze dwie sztuki strąciłem na ziemię. Taki sam los spotkał brodźca krwawodziobego, o pomarańczowych nogach.

Słońce zapadało. W oddali majaczył spowity mgłą auł, czas było się schodzić i podążać ku wiosce. Daleko za nami pozostały błota, ściemniało już na dobre, gdy zachęcony przez kuzyna, zajrzałem jeszcze nad bagienko, leżące nieopodal na prawo, gęsto zarośnięte sitowiem. Ledwie się zanurzyłem w trzcinach, na tle ciemniejącego nieba zamajaczyła lotna sylwetka. Po strzale duży, ładny kaczor rożeniec powiększył liczbę trofeów.

Nigdy już później nie osiągałem rezultatów tak bogatych w obfitość i rodzaj okazów przeróżnych gatunków. A był to pierwszy dzień 1916 roku, który po 23 latach nie stracił świeżości barw i kolorytów, żyjąc jaskrawo w mojej pamięci.

TADEUSZ MILEWICZ.

WSPOMNIENIA Z PODCHODÓW NA GŁUSZCE I POLOWAŃ NA KACZORKI

Przyszła wiosna. Odżyły soki zaspanej roślinności, żywiej krążąc, gorącej tętniąc, zwiastowały nowe flory odrodzenie. Skarby ciepła i zieleni natchnęły błogostanem wszystko, co czuje, wie i poznaje. Puszcza westchnęła i przejrzała. Obudziła się. Zadrgały dziękczynną modlitwą gardziołka skrzydlatej „floty" leśnej. Zawtórował im, jakby skarżącem pragnieniem wyznania, krwią nabrzmiały, głęboko przeciągły zew miłosny zwierząt. Wiosna zjednoczyła mieszkańców ziemi wspólną tęsknotą nasycenia się pięknem przez oddanie się pięknu — dla ukojenia!

Okres godów wiosennych u głuszców, królewskich trubadurów kniei polskiej — to druga połowa marca, kwiecień i pierwsze tygodnie maja. Gdy brzozy pączków dostają, znak jest nieomylny, że pora głuszcom grać. W taką porę skorzystaliśmy z miłego zaproszenia kochanego p. A. B., właściciela dóbr na Polesiu, aby wpaść do niego na parodniowe polowanie. Telegram zachęcająco, choć zwięźle donosił: „Krykuchy wabią, kaczorki są, brzozy pączkują, głuszce grają — prosimy jechać!". Więc pojechaliśmy we trzech: ojciec, brat i ja.

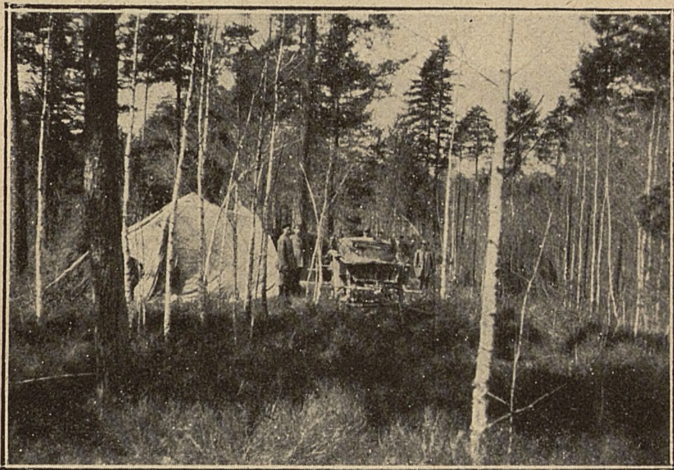
Mimo zamiłowania do myślistwa i racjonalnego rozumienia metod hodowli, ze względu na mój zawód inżyniera-agronoma, trofea łowieckie miałem zawsze skromne. Brat lgnął do efektów pozytywnych życia, ja do jego strony poetycko-literackiej; gdy on w sprawności fizycznej upatrywał sens — ja, do trosk nadliczbowych dążyłem, do nienasyconych wrażeń. Przecież, mimo różnic charakteru, miewaliśmy momenty idealnego wprost wyczucia siebie, a w chwilach tragiczno-przełomowych w życiu, nastroje gorzkie, zamiary poważne... W perspektywie odległej, prawie zapomnianej beztroski — zdrowe, zgodne wybuchy śmiechu młodzieńczego.

Dziś na twarzach naszych zaledwie cień uśmiechu się błąka. Ręce dzierży się godniej, oczy patrzą uważniej i głębiej widzą, usta dyskretniej się śmieją. Po śmierci ojca bardzośmy spoważnieli, bowiem zrozumienie oblicza zgonu i wagi niepowetowanej straty naszego wychowawcy i żywiciela, bezpośrednio rzuciło nas w odmęty walki o byt, z której zwycięzcą opanowany jeno wyjść może.

Z Warszawy wyjechaliśmy o 11-ej wieczorem. Na miejscu w M., stacji kolejowej oddalonej od majątku S. o 12 km., byliśmy nazajutrz o 7-ej zrana. Po czterdziestu minutach konik poleski dowiózł nas wagonikiem kolejki wąskotorowej do majątku. Zabawiliśmy w S. trzy dni. Przez ten czas prawie nie spałem, bo i jakże: w dzień posiłki, w międzyczasie rozrywki, jak szachy, bridge lub muzyka, a o dziesiątej wieczorem wypady na głuszce, zasadzone uprzednio na „zapadach". Głuszce zabierały nam całą noc, do jakiejś godziny czwartej nad ranem, a kaczorki do 8-ej, a nawet do 9-ej rano. Później był najazd na dom i normalny tryb mycia się, przebierania, więc na dorywczy odpoczynek najlepiej pasowała godzina od 10—11½ przed południem.

Leżąc, powtórnie przeżywałem doznane wrażenia. Co daje i co znaczy otoczenie leśne i wiejskie wogóle, przekonałem się niebawem na sobie. Przecież wróciwszy do stolicy, nietylko nie czułem się zmęczony, ale przeciwnie, z większemi zasobami sił moralnych, ba! fizycznych, zabrałem się do nauki i pracy codziennej.

Właśnie kończyliśmy bridge'a, kiedy dano znać, że konie gotowe, że zajeżdżają wnet przed ganek. Zrywamy się. Ja jak zwykle ostatni, jak zawsze śpieszący się, Ojca tem wprowadzałem w pasję. Więc wymyślał mi od safandułów, strojących się paryskich elegantek i t. d., ja zaś z miną obrażonej wielkości, bezwiednie robiłem nadal po swojemu. Brat, bardziej rzutki i skoordynowany, siedział już na wozie, zwycięsko pogwizdując. Życzyłem mu wtedy nie po bratersku, żeby przez zaniedbanie czegoś naraził się na solidną ojcowską naganę. Niestety, moje „pobożne" chęci z reguły fiasko niosły i ja właśnie „narywałem się" na ojca, gdy brat na razie tryumfował.



Obozowisko na tokach. Fot. J. hr. Dunin Karwicki.

Wreszcie około wpół do 11-ej wieczorem ruszamy. Noc cicha i ciemno-granatowa, z domieszką sepji. Im bliżej lasu, tem chłodniej — tem ciszej zachowujemy się. Wjeżdżamy w zagaje. Jest przejmująco, czy to z powodu zimna i rzeźwości oszronionej nocy marcowej, czy też napiętych nerwów, zachwyconych urokiem przyrody. W oddali, na tle nieco jaśniejszego nieba, widać atramentowe pasmo boru. Wnikając w bór, pomimo woli mocniej zaciskam palce dookoła szyjki strzelby. Ze zmanierowanego kulturą XX wieku serca, pod wpływem przemożnego głosu natury, wyparowują cechy pseudo-człowieczeństwa: „*homo homini lupus est*", a wyziera pierwotne, nieskażone oblicze łowcy i miłośnika zwierząt. Zmysły gwałtownie ostrzeją. Oczy rozanielone, z jakąś podświadomą ufnością w siły własne i wyczuciem bezpieczeństwa w tej głuszy, ślizgając się, przenikają kotarę ciemności. Uszy łowią kiedyindziej, zda się, nieuchwytne szmery, a zmysł powonienia wielorakość przesubtelnych zapachów! Znagła skrzypnięcie kół u wozu, lub potknięcie się kopyta końskiego o wystający karcz przydrożny, przerywa nasze dumanie, mącąc harmonję dzikiego ustronia szczękiem wyprawy. Ścieżka jest tak wąska, że trzeba co chwila nurkować w głąb wozu, ażeby uniknąć uderzenia o gałęzie drzew, przeważnie iglastych.

Po godzinnem takiem „kolebaniu" dosięgnęliśmy głębi puszczy. Mrok był gęsty, poprostu namacalny. Nie odróżniałem nieba, nie widziałem też woźnicy na przedzie. Jechaliśmy jakby poomacku. Jeno świe-

żość tajemnicza biła w nozdrza, a porywisty wiatr przelewał się nad głowami akordem spółgłoskowych tonów. Niby pyszna, grozowładna pani, objęła nas knieja niepodzielnie w swoje posiadanie, zazdrośnie strzegąc dziewiczości. Dotykam policzków: zziębnięte są, aż kłują, a jednocześnie dziwnie czułe na dotyk. Rozumiem, że w tej chwili jestem inny, niż tam w mieście, wśród zmechanizowania się duchowego i parodji piękna. Jestem skupiony i czujny. Oczami szukam ojca, raczej wyczuwając jego sylwetę, niż dostrzegając go. Błogi spokój ogarnia serce, które pragnie Boga chwalić, bo właśnie teraz znajduje się bliżej Stwórcy. Dusza śpiewa hymn na nutę łowiecką, zwycięską. Prężą się mięśnie, niby do walki chwalebnej. Niby do boju „na śmierć lub życie", ale po rycersku, uczciwie! Rozkoszna chęć wykazania się siłą!



Ambrożewicz, najlepszy przewodnik w Puszczy Hołubickiej.
Fot. Dr. A. Gmerek.

Jest coś przemądrego i cudownego w misterjum snu i stopniowego budzenia się mieszkańców kniei. I wiatr — kochanek puszczy chwilami stula oczy, by w porze odpowiedniej tem czulej ją popieścić. Kochanku próżny — daremne twe zabiegi — dziewiczość polskich kniej w swych dłoniach dzierży Bóg! Jak zmiany napięcia magnetycznego księżyca wpływają na życie tworów głębin, tak promienie słoneczne budzą w królestwie leśnem niezmierzone źródła energji, nasilając jego twórczość.

Zbliżała się północ. Las spał, śniąc o koronie prawdy i piękna. Jeno stare drzewa posapywały skrzypiąc. Na dłużej wiatr się zdrzemnął. Jak kropelki leciutkiej rosy, osiadłe na trawce, aby znaleźć przy niej wypoczynek i przystań, tak opadło marzenie na moje powieki, niosąc przytulność. I nie wiem czy dla ogólnego poczucia zgodności, odczułem konieczność ich zamknięcia. Wieczność i chwilka, podając sobie ręce, odebrały mi świadomość. Zmysły ograniczyły się do mechanicznego rejestrowania wstrząsów. Odpoczywałem. Nagle wóz chybnął gwałtownie i konie skręciły w lewo... Stanęliśmy. Drgnąłem. Oszołomiony, przesłoniłem oczy. Niespodziewany jakowyś żar potężnemi potokami buchał w twarz, oślepiając wzrok, wybielając okolicę. Niby potworne witki ośmiornicy, wgryzał się w ciemność i wypierając ją drgającą zajmował opustoszałe jej rejony. Świecąc palącą się masą barw: purpurą, złotem, dymkiem srebrnym, jakby w pochodzie rewolucji, niosły wieść światu: walki śmiertelnej dwóch żywiołów — jasności z mrokiem. Rażony nagłym skokiem w jasność, znieruchomiałem z wrażenia. Myśli poniosły mnie w kraj dziki, do bud Jadźwingów, jurt Tatarów, co przy płonącym nocnym ogniu, wpół nago, spiekłe jedli mięso.

Moje impresje i majaczenia przerwał ojciec.

— No zejdźcie, chłopcy, ogrzejcie się przy ognisku Mamy prawie godzinę czasu...

Woźnica koniom sypnął owsa i zamknął oczy utrudzony. Ja znów podszedłem do budanu. Gorzało olbrzymie palenisko. Snopy iskier, skrząc się i trzeszcząc, tańcząc kłębiąco, waliły o wierzch kurenia, nie wyrządzając mu jednak szkody. Wzdłuż ścian siedzieli gajowi: Zawadzki, stary Mazur, dumny, dalej Arsen, Bałaj i Semen — Poleszucy. Obrośnięte, brudne swe ciała oblekli w baranie tułuby, uszyte włosem do wewnątrz. Bałaj zdjął kożuch i większy ogień niecił. Semen i Arsen sypnęli do ojca. Brat usiadł w pobliżu.

— No jakże tam, Semen — pytał ojciec — grają w tym roku dobrze?

— A hrają głuchari, barin, tylko cosik im szkodzi, urywają, płochliwsze są, na wiorsty trzy od dymu uciekają, czując.

— Zasadziliście dużo?

— A koniecznο; na Ranieckim bahnie Arsen i Zawadzki ze trzy sztuki, na Ostrowie znów Bałaj dwa!

— Et! Bałajowi wierzyć tam — wtrąciłem.

— Jej Bohu! — zaklinał się zainterpelowany.

— No, Bałaj — rzekł ojciec—jak panyczy ustrzelą po głuszcu, będzie tabaka i wódka!

Smakowicie mlasnął wargami. Zbliżyłem się z bratem do Zawadzkiego.

— Są głuszce, panowie — wycedził z godnością — a jakże... ja zasadziłem na bahnie z Arsenem dwa, bo ten trzeci niepewny, ale podchodzić nie zdołuję, bo kaszlę w nocy... zostanę tu...

— Zawadzki! — zawołał ojciec.

Pobiegł stary i wyprężył się. Słyszałem jak potwierdzał, co mówili Poleszucy. A Zawadzkiemu wierzyć można.

— Odpocznijcie, chłopcy — zwrócił się do nas ojciec — o 1-ej wyruszamy. Zbyszek, nie zmarzłeś?

Usiadł teraz na okrąglaku bokiem do nas i zaciągnął się dymem. Odpoczywał milcząco i z uśmiechem coś ważył, rozmyślał. Nastało wspólne milczenie, tylko bezlitosne, gorące języki chciwie lizały smolne, spękane bierwiona. Bałaj podszedł do ogniska, pykając lulkę. Starzy to byli ludzie, mający po siedem krzyżyków i więcej. Wielce prymitywni, serca mieli dobre, do przywiązania skłonne. Z tem wszystkiem, rzadko z kulturą stykając się, brali od niej samo zło: obłudę, nałóg pijacki... Ci ludzie leśni już byli niejako skażeni niemi. Nie wiem, czy żyją dziś, boć przeszły lata, jak ich nie widziałem.

Refleksje moje przerwał ojciec, ucząc poufnie:

— Uważaj, idź bezgłośnie i trzymaj się Arsena, bo w puszczy zabłądzisz i nie obaczysz głuszca. Jarosława Bałaj poprowadzi, chociaż on jużby sam umiał podchodzić. No, a ze mną pójdzie Semen.

Jeszcze dodał parę niezbędnych fachowych uwag, a spojrzawszy na firmament przyśpieszył:

— Już w drogę pora iść... — wskazał na mnie. — Arsen, z paniczem pójdziecie na drugą stronę Ranieckiego bagna. Ja z Semenem skręcę, wiecie, do tej krzyżującej dróżki na lewo i będę podchodził tego

trzeciego, mniej pewnego. Jarosławie, pójdziesz z Bałajem na Ostrów. Bacz na mnie, nie śpiesz się, bo mając bliżej, sobie i nam zepsuć możesz!

Poszliśmy. Poleszucy szli szybko, miękkim, palcowych chodem. Łapcie tłumiły szmery. Jarosław odrazu z Bałajem wziął w bok i zniknął. Ja poszedłem prosto, do oznaczonej ścieżki. Milczenie panowało głuche. Miałem przeświadczenie dokonania czegoś nader ważnego i trudnego, co nie zdarza się często. Więc patrzyłem „na oba oczy". Ojciec, idący z tyłu, strofował mnie:

— Za głośno stąpasz, pamiętał nie gorącuj się i w locie, broń Boże, głuszca nie strzelaj, bo go łatwiej wtedy skaleczyć, niż podnieść.

W głowie mi szumiało od natłoczonych myśli i wskazówek. Jakiś ptak nocny począł sennem staccato nieśmiało czyrykać. Co wcześnie tak śpiewa?

— To „hynuk", najmniejsze ptaszę puszczy, pierwszy zaczyna — odrzekł szeptem Arsen.

Ptaszka tego nigdy nie widziałem. Brat natomiast w dzień dostrzegł milczącego, malutkiego, szarego, w którym poznaliśmy leśnego skowronka. Podobno on miał być właśnie „hynukiem".

— Musi być około 2-ej — zauważył przewodnik — bo już i ciećwierze bełkocą...

Jakoż doszedł uszu niewyraźny, daleki ich bełkot. Byłem przejęty i tak czujny, że zdawało mi się, iż słyszę Arsenowe bicie serca. Posuwaliśmy się, co dwadzieścia kroków przystając i nasłuchując, czy nie grają gdzie głuszce. Tak się wtedy nastroiłem, że poprostu czułem się jedną całością z puszczą. Szum kniei był moim oddechem, drzew poskrzypywanie — biciem mego serca, które, pod wpływem niecodziennej emocji, dotkliwie trzepotało w piersiach. Nagle Arsen padł na ziemię, jakby rażony gromem; myślałem, że umiera. Boże jedyny! Co mam robić? Błagam: — Arsen, no, Arsen co wam jest? A on nic, jeno krztusi się. Myślałem wówczas, że sam skonam ze strachu i poczucia własnej bezradności. Jakoż odsapnął po chwili i wyszeptał: — Kaszel mnie napadł, panyczu, więc go tłumiłem, nie chcąc głucharej popłoszyć.

Kochany Arsen, chciałem go wtenczas uścisnąć z radości, że mu się nic nie stało! Późniejsze swoiste reakcje Poleszuków już mnie więcej nie denerwowały, np. tupanie wkoło jednego drzewka — dla odżegnania się od złego ducha; ustawiczne żegnanie się i t. d., a zwłaszcza tak typowe dla nich rzucanie się na ziemię dla stłumienia kaszlu.

Niebo zaczęło sinieć. Przeszliśmy dobre dwa kilometry, a o głuszcach ani słychu. Cietrzewie bulgotały, jak strumyk mknący wartko po urwiskach, donośnie i wyraźnie. Bełkot ich dominował i przygłuszał śpiewne próby różnych gatunków ptaków. Wypełniał gromko bór. Wnet doszło ucha mego coś, jakby niewyraźny trzask złamanej gałązki, gdyby uderzenie laską o dalekie drzewo, niepewne. Chwyciłem Arsena za rękę, kurczowo zastygliśmy, bacznie, z wysiłkiem nasłuchując. O, był to moment nadzwyczajny dla mnie! Serce biło, jak młotem! Arsen słuchał i nic na razie nie słyszał: — Nie — rzucił — to chyba drzewo skrzypnęło, a panycz myślał, że to głuszec. Uszliśmy znów z 15 kroków. Teraz on ujął mnie za ramię: posłyszał starowina! A przecież ja pierwszy złapałem ten obcy zrazu dla mnie dźwięk.

— Gra! — wyjąkał — gra napewno. Idźmy!

Pomknęliśmy, najpierw dając po 4—5 susów naraz, potem 2—3. Po przejściu kilkudziesięciu metrów usłyszeliśmy czyściej głuszcowe „stukanie" — oddalony i pierwszy fragment jego pieśni! Głuszec grał w środku „Ranieckiego bagna", w sercu puszczy. Po chwili dosłyszeliśmy „tekotanie" dwóch innych z lewej strony bagna. Po krótkiej naradzie postanowiliśmy podchodzić głuszca najlepiej „klapiącego", chociaż najdalszego, tego, który grał w środku „Ranieckiego bagna". Zresztą ojcu nie chciałem przeszkadzać. Sadziłem krokami, jak w malignie, bliźniaczo dostosowując się do przewodnika, nic nie widząc, o niczem nie myśląc, skacząc prawie na ślepo, w kierunku coraz to wyraźniej słyszanej pieśni. Zgięci i sprzężeni z sobą, jak zwidy leśne, przegnaliśmy ze 300 kroków. Głuszec grał pewnie. Słyszałem całą pieśń. Jakże odrębna, wspaniała — iście królewska! W tonie, barwie, w napięciu uczuciowości. Najpierw rzadziej, jakby próbując i strojąc instrument: tek... tek, tek... tek, tek, tek, tek, potem śmielej i rytmiczniej: tek, tek, tek, tek, tek... aż wreszcie wybuchał gamą dźwięków: czczczyszszszszszbłgbłggbłg! — najgłębszą w treści, skali i uczuciu. Drgało w nich spiżowe granie surmy bojowej, wieszczącej siłę, męstwo i wyzwanie: wrogom na pohybel! To znów pokorna, żałośliwa skarga, o pieszczotach śniąca. W ostatnim fragmencie „korkowania i szlifowania", trwającym od 3—4 sekund, dawaliśmy tyleż susów, by skamienieć w bezruchu natychmiast po jego skończeniu. Przebrnęliśmy znów kilkadziesiąt kroków po bagnie. Głuszec grał śmiało, z werwą. Byliśmy oddaleni od niego o blisko 50 kroków.



Jednego ranka... Fot. Dr. A. Gmerek.

Jakaś zawziętość we mnie wstąpiła. Muszę go koniecznie podejść na strzał! Sugerowałem się. Znów parę susów, głuszec grał jak urzeczony... Jeszcze sus, dwa, trzy, pięć — głuszec był już prawie na strzał, grał, jakby na dłoni! Otucha we mnie wstąpiła i duma. To rozumiem podchodzenie — chełpiłem się w duchu! Chyba rekord brata pobiję, bo jeszcze drugiej niema! (Brat przed rokiem na tem bagnie podszedł i ustrzelił głuszca o godz. 2 min. 10, co ojciec ogromnie pochwalił).

Niebo jaśniało, wyraźniej odcinając się od ciemni leśnej. Daliśmy znowu susa, głuszec urwał; zastygłem

w sytuacji bardzo niewygodnej: ręce poza jakimś krzaczkiem, lewa noga w półmetrowym krzewie, a prawa daleko w bok, ugrzęźnięta aż po pachwinę w bajorze! Dubeltówkę musiałem trzymać nad głową, aby nie wypaliła i nie zamokła. Piekielnie niezręcznie — pomyślałem — byle tylko niedługo tak trwać! Jakoż odetchnąłem. Głuszec zagrał nanowo, a ja ledwo zdążyłem zmienić postawę. Urwał znowu. Czegoż u licha jesteś taki nerwowy — żachnąłem się. Gruba, rozłożysta sosna przesłaniała następną, na której według moich przewidywań powinien był siedzieć głuszec. Że ciemno, to nic, jakoś na tle nieba spostrzegę go, podprowadzę strzelbę i strzelę. Żeby tylko zobaczyć!.. Reszta, to głupstwo! Tak się uspokajałem i obiecywałem sobie, widząc okiem wyobraźni ustrzelonego głuszca. Patrzę, aż tu, o zgrozo! Przewodnik mój, wpadłszy w zdradliwy wykrot, upada, chrobocąc podpierającą pałką... Stuknięcie, choć słabe, usłyszał głuszec, bo przerwał na dłużej. Omal, że nie zbiłem starego za taką niespodziankę. Ale oto głuszec powtórzył, lecz jakoś urywanie, bojaźliwie. Boże! — modliłem się — święty Hubercie, daj, aby on się uspokoił, żeby wyrównał pieśń!...



Ze zdobyczą. Fot. Dr. A. Gmerek.

Niestety, nie było mi dane ani wtedy, ani do dzisiaj, ustrzelić głuszca. Przerwał bowiem za chwilę na dobre, by potem, majestatycznie zrywając się, odlecieć hen — w dal puszczy. Tyle trudów na marne — pomyślałem z żalem — co za pech... a przecież tak, zdaje się, murowanie miałbym go na strzał! Jeszcze chwilka, jeszcze grubość jednej sosny, a napewno strzeliłbym do niego. No, trudno — pocieszałem się. Może jutro będę miał więcej szczęścia!? Miałem pewnego rodzaju satysfakcję, że oto człowiek kniei, od pół wieku zżyty z nią, popsuł polowanie, a nie ja, młodzik niedoświadczony.

Zafrasował się Arsen i poskrobał w głowę. No cóż— pocieszałem — zdarza się.

— Ot, starość, panoczku, uszy gorsze, nogi słabsze.

Tak gwarząc zcicha, nasłuchiwaliśmy. A może tak którego z tych dwóch pozostałych spróbować? — proponował nieśmiało — tego „prawiej"... Dobrze, a czy ojcu nie przeszkodzimy? Przecież ten z prawa jest ojcowego nie daleko... Eee!... będzie ze dwie wiorsty — zachęcał i przynaglał. Skorieje!

Już decydowałem się iść, kiedy i tamte przestały grać, niwecząc moje myśliwskie zamiary. Deszczyk właśnie kropić zaczął..., a głuszce, wiadomo, deszczu nie lubią! Chcąc, nie chcąc, musieliśmy zmykać z próżnemi rękoma z powrotem. Ciekawy i niepewny sukcesów ojca i brata, rychło zapomniałem o swojem niepowodzeniu i raźno z Arsenem wracałem do kurenia. Nastawał świt. Niebo powoli rozjaśniało się błękitem, mając od wschodniej strony okrasę fioletowo pomarańczową. Wierzchołki drzew tonęły w dymnej, pastelowej poświacie księżyca. Niebawem ustał deszcz i wyjrzał księżyc pełen krasy. I choć nie swojem światłem płonął, ubarwiał knieję seledynowo, ślicznie! Bełkot cietrzewi wzmógł się gwałtownie.

— A to ci jurnie tokują — wtrącił Arsen. — Za godzinę, ze wschodem słońca, bór rozgada się na dobre, to dopiero będzie muzyka, gwar, zabawy i gonitwy miłosne! Uśmiechnął się stary wyga poleski; wionęły z twarzy jego: tkliwość i zrozumienie praw przyrody.

W zadumie pogrążeni, około 4-tej wyszliśmy na główną drożynę. Po piętnastu minutach szybkiego chodu wpadliśmy do budanu. Ojciec i brat odpoczywali już na wozie. Również szczęścia nie mieli... deszcz im przeszkodził. Zresztą Bałaj źle głuszce zasadził. Nie rozpytywałem, mając już doświadczenie, jak trudno jest podejść głuszca, jak wiele może zaistnieć przyczyn, od ludzkiej woli i zręczności niezależnych, z powodu których głuszec może przerwać pieśń.

Zawadzki został posłany, aby przygotować budki. Wszak zaraz mamy jechać na kaczorki. Na wozie, umieszczone w specjalnych koszykach, niecierpliwie odzywały się służące do ich wabienia krykuchy. Przed wschodem słońca budki muszą być gotowe i zamaskowane zielenią! To też ojciec dał znak, żeby jechać. Woźnica zaciął konie.

— A pamiętajcie — zwrócił sie do Poleszuków — żeby mi dziś na noc było inaczej!

— Napewno, panie generale — odparli chórem. — Zasadzimy, jak nigdy!

— Arsen! A Bajała tam pilnować, ażeby poszedł na zapady, a nie włóczył się po lesie!

Tak przekomarzając się, odjechaliśmy, żegnani gremjalną przysięgą Poleszuków, że obsadzą głuszce napewno!

Pojechaliśmy na stawy. Niektóre dobrze zarybione, inne znów dziksze, ale za to więcej kaczek i kszyków posiadające. Wysiedliśmy przed 5-tą godz., przy t. zw. „Trzecim stawie", przed nami leżał „Niemiecki", ciągnący się aż pod same M., za nami: „Nowy, Młynek i Warka". Budki stały zrobione — ojca wznosiła się na środku grobli, moja po lewej stronie, o jakieś 200 kroków, brata po prawej, odległa taksamo. Zajęliśmy w budkach miejsca. Zawadzki umocował krykuchy, które, rozkosznie pluskając się, pokwakiwały zalotnie.

Wschód słońca rozbudził i ożywił świat. Jakby na zawołanie, zaroiła się puszcza, moczary i łąki. Buchnęła melodja pod strop niebieski. Przekreślona fioletem i karminem, widomym znakiem obecności w niej bogów natury, wypłynęła życiodajna, jarząca się kwadryga, powożona przez Erosa i Psyche, straż nad nimi sprawowała lekkonoga Diana, zaś Dafne plotła wianuszek z chabrów dla motylorzęsej Psyche i dekorowała kwiatami rydwan. Gdy Eros czule się zbliżał do Psyche, wykwitały rumieńce na jej alabastro-

wej twarzyczce — wóz gorzał kolorami tęczy, Diana zwierała zazdrośnie gniewne usta, śląc zieleń, żółć i fiolet, a Dafne, chcąc rozdzielić dostojnych kochanków, niby to niechcący rzucała naręcza przylaszczek i pierwiosnków, stwarzając z barw ich jutrzenkę... Tak wyjeżdżała, na orle mknąc szlaki, niebiańska karoca, niosąc na skrzydłach promiennych Psyche radość i miłość, z oczu Diany rdzawą zawiść i gniew pomroczny, a z rąk Dafne łzawe, nieśmiałe wejrzenie świtu...

Właśnie parki bekasów, kulików i kaczek rozpoczynały swe gry miłosne. W przepięknych esach i floresach samce atakowały rozanielone ale wstydliwe samiczki... Cudowny, nektarowy ranek! Harmonję bardziej zgodnych motywów i porywów natury zamącił strzał człowieka, niosąc śmierć: to ojciec celnym strzałem położył kres amorom samca! Ładny okaz kaczorka powędrował do torby.

A Pan Bóg zadzwonił na św. Piotra i spytał o intencję strzelców. Natenczas św. Klucznik, na wszelki wypadek, polecił św. Hubertowi pieczę nad zwierzyną.

Po chwili moja krykuszka tak słodko zaczęła zawodzić i prosić, że naraz zwiodła dwóch amatorów rozkoszy. Upatrzyłem lepszego i położyłem go. Brat był dotąd bez strzału. Jego dziewuszka nie chciała wabić, słońce ją tak rozleniwiło, że jeno sama igrała z wodą, skubiąc trawkę, łowiąc pożywienie z mułu dennego. Nie pomogły jego prośby ani nalegania, wreszcie złość i rzucanie grudkami ziemi w jej stronę. Nie miała ochoty i basta! Zakaprysiła. To też, gdy ojciec zabił jeszcze jednego kaczora, wobec jawnych fochów wszystkich krykuch, postanowiliśmy tego rana wcześniej wrócić do domu. Dzięki temu mogliśmy przespać dłużej nieco. Dzień upłynął w życzliwem środowisku nader przyjemnie. Nie opatrzyliśmy się jak zmrok zapukał do okien, jak słońce odpoczywać poszło, wyznaczając na swego zastępcę księżyc-lampę cieniów nocnych.

Pojechaliśmy do boru. Ponownie na podchody głuszców, na wspaniałe, niepowtórzone wrażenia i widoki. Ojciec zrezygnował z podejścia. Wolał obserwować żywe piękno natury, niezmącone jego strzałami. Natomiast kierował nami i naszymi przewodnikami. I znów druga noc nie przyniosła rezultatu. Głuszce urywały, poczem zdala już odlatywały. Z kaczorkami też było nie lepiej! Wobec tego postanowiliśmy po raz trzeci z rzędu spróbować i upartą niepowodzeń passę przełamać.

Wiódł mnie na tok głuszcowy sam właściciel polowania. Zgóry czułem jego nieudanie się. Deszcz rozpadał się na dobre i tej nocy głuszce wogóle nie grały. Miałem jednakże tę emocję, że niespodziewanie podszedłem żórawie. „Chorąży" ich narobił takiego larum i nagłego harmidru, że się przeraziłem, nie wiedząc, co to jest. A że w tym czasie byłem sam, bo cicerone mój odszedł zbadać czy gdzieś nie grają skrzydlaci władcy kniei, więc nie mogłem wyjść ze zdumienia, co to być mogło. Bo i jakże: cisza trwa grobowa, jestem w mateczniku sam, nastrojony na kojący spokój, gdy wtem przeraźliwy wrzask jakichś upiorów przeszył mrok puszczy. Tuż przede mną, jeden, drugi, trzeci. Coś zakotłowało, zasyczało tajemniczem „pszszsz" i ucichło tak nagle, jak powstało.

Dopiero pan Antoni wróciwszy spytał, czy to nie ja natknąłem się na żórawie? — Aha, pomyślałem — więc ten moździerzowy gong, przeraźliwie wysoki i dźwięczny — to klangor żórawi?

Na kaczorki nie miałem ochoty jechać, wracałem sam do S. Tu za to słodko przespałem się, aż do przyjazdu ojca i brata. Około 9-ej zrana zbudzili mnie, ochlapując zimną wodą. Zerwałem się na nogi!

— Wstałeś wreszcie, leniuchu — dobrotliwie spytał ojciec. — Widzisz, uparłeś się wracać, wschodu słońca nie obejrzałeś, straciłeś i na kaczorkach. Myśmy wytrwali, przełamując zmęczenie i niepowodzenie! Krykuchy dziś wabiły, jak z nut. Patrz: oto wynik naszego polowania. — Pokazał przytem 6 wspaniałych kaczorów. — Tym razem podzieliliśmy się z Jarosławem, ubiwszy po trzy sztuki. A tobie nie wstyd?



Młode „krykuszki". Fot. B. Korybut-Daszkiewicz.

Byłem wściekły, zwłaszcza dlatego, że brat za plecami ojca wyniośle na mnie patrzył. Obrzuciwszy go ponurem spojrzeniem, wypoczęty, wyszedłem na spacer, oglądając inwentarz i budowle majątku. Zdala dochodziło uszu nawoływanie rządcy, beczenie owiec i szczekanie psów. Pobliski las pachniał parującą w słońcu wilgocią swego podszycia. Około 3-ciej w południe, gdy płuca moje dostatecznie nałykały się „wiejskiego" powietrza, wróciłem do majątku, zabierając się do wyczyszczenia strzelb. Wiedziałem chytrze, że zwłaszcza tą moją gorliwością mogę sobie zupełnie zjednać ojca. Po doprowadzeniu naszego ekwipunku do porządku, zdecydowałem się obudzić uśpionych ojca i brata, gdyż na dole już oczekiwano na nas z obiadem.

Obiad spożyliśmy w znakomitych humorach.

— A może tak w bridgea zagramy na pożegnanie — uprzejmie zaproponował gospodarz.

— I owszem, chętnie — odrzekł ojciec. — Tak we 4-ch graliśmy do kolacji. Kolację spożyliśmy dosyć śpiesznie, bo do odejścia pociągu pozostała tylko godzina. Wreszcie obsiedliśmy wagonik i, żegnani serdecznie przez życzliwych gospodarzy, opuściliśmy gościnne progi, dające niezapomniane przeżycia. Pociąg już dyszał parą, kiedyśmy z fantazją wpadli do M. Do domu przybyliśmy następnego dnia rano. Matka, witając nas radośnie, mówiła:

— Teraz pracować będziecie chętniej i owocniej, bo natura nietylko uczy poznawać i miłować piękno życia, ale i kochać wszystkie, chociaż najcięższe jego obowiązki!

ZBIGNIEW SKRZYŃSKI.

Z BIOLOGJI SŁONKI

Uwagi p. A. Sandera w Nr. 3/4 „Łowca" z r. b. na temat opracowania przeze mnie ptaków w „Faunie słodkowodnej Polski", a specjalnie dotyczące słonki, nasunęły mi refleksję, że ludzie mający stale styczność z najnowszą literaturą ornitologiczną, tak jak ja, niezawsze może dobrze orjentują się jakie zagadnienia, w literaturze bardzo specjalnej dokładnie omówione, są znane ogółowi myśliwych. Dlatego też zabrałem się do skreślenia dla czytelników „Łowca Polskiego" tego artykułu, mającego za zadanie zapoznać ich z niektóremi szczegółami z biologji słonki, zbadanemi przez ornitologów w ostatnich czasach.



Z toków i ciągów na Wileńszczyźnie. Fot. T. Pacyna.

O biologji słonki można znaleźć dużo informacyj ogólnych we wszystkich większych dziełach ornitologicznych czy myśliwskich: u Brehma, Naumanna, Taczanowskiego, Sztolcmana, Diezla itd., natomiast literatura zajmująca się specjalnie tym ptakiem nie jest bardzo obfita. Z ornitologów, którzy szczególnie interesowali się życiem tego ptaka w nowszych czasach i bardzo znacznie przyczynili się do jego poznania, należy wymienić dwu badaczy niemieckich, O. Zedlitza (1914, 1921, 1925) i O. Steinfatta (1938), dalej Szwedów E. Lönnberga (1921, 1922) i L. M. Pay'a (1937), a wreszcie M. Bartelsa (1925) i O. S. Pettingilla (1936), jeżeli chodzi o słonki nieeuropejskie. Pierwszy z wymienionych prowadził obserwacje nad słonką na Śląsku niemieckim, na Polesiu (podczas wojny) i w Szwecji, drugi w Prusach Wschodnich. Dla nas wyniki ich prac mają znaczenie największe. Obserwacje Szwedów, choć również bardzo cenne, niezawsze są zgodne z biologją naszych słonek — inne położenie geograficzne powoduje bowiem różnice biologiczne.

O słonce dowiaduje się myśliwy na wiosnę wtedy, gdy rozpoczynają się ciągi. Jak wiadomo, jest to lot tokowy tego ptaka. (Niektórzy, nawet bardzo poważni ornitologowie dawniejsi, u nas Taczanowski, nie uważali ciągów za tok, lecz jedynie za jakiś spacer przedwieczorny). W „Faunie słodkowodnej" napisałem kategorycznie, że w tym locie tokowym biorą udział tylko samce. Być może, że niejeden z poważnych myśliwych zarzuci mi w tem miejscu, że przecież strzela się czasem na ciągu samice. Strzela się, to prawda, ale samice nie „ciągną"! W sposób równie kategoryczny wypowiadają to samo twierdzenie zacytowani poprzednio ornitologowie, w Polsce zajmował się tą sprawą Sztolcman, dochodząc do tych samych wyników. Mimo to, polując na ciągu, można się spotkać z przelatującą samicą. Należy wziąć pod uwagę, że przecież słonki ciągną już w czasie wędrówki na północ, nietylko na lęgowiskach, dalej że wędrują z nastaniem zmierzchu, przelatujące więc nad miejscem ciągu samice mogą być poprostu okazami lecącemi na północ, wędrującemi. Wreszcie mogą się trafić samice przelatujące z miejsca na miejsce [1]). Nie wiem dokładnie, jaki może być procent samic, gdy się strzela na wiosnę do każdej przelatującej słonki, sądzę jednak, że przeciętnie niewielki; zależy to zresztą od okoliczności, okolicy, roku i przypadku. Jako przykład, mogę podać, że serja słonek zabitych na lęgowiskach Wileńszczyzny w przeciągu kilku lat przez mojego przyjaciela B. Kreczmera, złożona z ponad 60 okazów, nie zawiera ani jednej samicy. A strzelane były wszystkie przelatujące ptaki, zupełnie celowo bez wyboru, właśnie dla zbadania tej kwestji (i innych). Ja osobiście to samo stwierdziłem, lecz na znacznie mniejszym materjale. Dbający jednak o stan słonek myśliwy powinien strzelać tylko do okazów „chrapiących", samice bowiem chrapania nigdy nie wydają.

Sprawa wydawania głosu przez samicę słonki była jakiś czas sporna, jednak wymienieni badacze zgodnie stwierdzili, że samica wydaje tylko pewnego rodzaju psykanie czy świstanie (i to nie w locie) głos zaś tokowy, „chrapanie" jest właściwy tylko samcom [2]).

Naogół gatunki spokrewnione ze słonką kończą swój lot tokowy tokiem na ziemi. Jest rzeczą jasną, że skoro samiec słonki wykonuje lot tokowy, a samica siedzi na ziemi, to gdy się wreszcie na ziemi spotkają, samiec w ten czy inny sposób zaleca się do niej. Niektórzy obserwatorzy twierdzą, że widzieli tok na ziemi, podczas którego samiec z podniesionym ogonem, nastroszonemi piórami i opuszczonemi skrzydłami krąży naokoło samicy. Obserwacje te są jednak bardzo nieliczne i datują się z dawniejszych czasów — w nowszych jakoś nikt nie mógł tego zaobserwować. Choć więc Steinfatt przyjmuje i powtarza te obserwacje bez zastrzeżeń, ja mam pewne wątpliwości co do ich wiarogodności. U tegoż autora znajduje się opis obserwacji dokonanej przez p. W. Puchalskiego. Samiec słonki usiadł koło samicy, chwilę (jaką?), chodził nastroszywszy pióra, poczem nastąpiła kopulacja. Jeżeli ktoś koniecznie chce, może to nazwać tokiem na ziemi, raczej jednak jest to tylko finał, względnie następstwo toku. Narazie nie

[1]) Szczególnie szeroko rozpisuje się na ten temat Zedlitz, starając się wykazać, że choć zdarza się czasem spotkać samicę na miejscu ciągów, to jednak znalazła się tam ona przypadkiem, a nie w celu brania w nich udziału. *(Przyp. aut.)*.

[2]) W polskiej literaturze myśliwskiej pogląd ten był również wypowiadany, choć rzadko. Patrz np. S. Badeniego „Szczęśliwe dni". *(Przyp. aut.)*.

znajduję nigdzie wiarogodnego stwierdzenia faktu, by słonka nasza odbywała urozmaicone i ogniste toki na ziemi, tak jak to robi słonka amerykańska *(Philohela minor)*. Jest też możliwe, że różne samce rozmaicie się zachowują. Jeden, być może, opuściwszy się na ziemię koło samicy, bez żadnych wstępów próbuje kopulować, inny będzie jakiś czas podskakiwał i tańczył, inny jeszcze spotka się koło samicy z rywalem i będzie się starał go odpędzić.

Może kogoś zaciekawi obliczenie Steinfatta, że psykanie ciągniącej słonki słychać, przy bezwietrznej pogodzie, z odległości 300—500 m, oraz że szybkość lotu tokowego wynosi około 1 km/min.

Z powyższych uwag widać jasno, że słonka należy do tych ptaków, u których w okresie toków samce zachowują się zupełnie inaczej niż samice. Nasuwa się więc przypuszczenie, że i w okresie wychowywania potomstwa role samca i samicy będą odmienne. Jak zobaczymy w dalszym ciągu, jest tak istotnie.

Przez pewien czas spierano się gorąco, głównie w Niemczech, na temat tego, czy słonka ma jeden, czy dwa lęgi w roku. Dzięki badaniom Zedlitza, Lönnberga i kilku innych, nie ulega już teraz wątpliwości, że w Europie środkowej odbywają się regularnie dwa lęgi; ostatnie badania Steinfatta też to potwierdzają w zupełności. W północnych okolicach Europy jednak odbywa się, zdaje się z reguły, tylko jeden lęg.

Samiec gniazdem nie interesuje się zupełnie. Zedlitz przypuszcza, a Steinfatt jest prawie pewny, że u słonki nie można mówić o stadle, że obie płci prowadzą przez cały rok żywot zupełnie niezależny. Jednakowoż spotykano czasem przy dzieciach samca i samicę — być może zresztą, że było to dziełem przypadku; samiec o samicę z dziećmi nie troszczy się. Nie ulega wątpliwości, że siedząca na pełnem zniesieniu samica nie interesuje się jakimkolwiek samcem, który przelatuje koło niej.

W tym czasie, gdy samice siedzą na jajach, samce odbywają jeszcze lot tokowy, ale w znacznie słabszym stopniu, niż we właściwym okresie godowym, tak że naogół te osłabione ciągi uchodzą uwagi człowieka. Po wychowaniu młodych z pierwszego lęgu następuje drugi okres godowy (pocz. czerwca) i ciągi samców równie intesywne, jak podczas pierwszego okresu godowego.

Młode samce, z pierwszego lęgu, nie tokują wprawdzie zupełnie formalnie, lecz odbywają w lipcu lot tokowy. Można zresztą spotkać ciągnące wieczorami słonki (zdaje się, że tylko młode) również w sierpniu i w jesieni.

Samica siedząca na jajach opuszcza gniazdo wieczorem i odbywa mały spacer, przeważnie na skrzydłach. Oczywiście może się ona wtedy zabłąkać między ciągnące jeszcze w tym okresie samce, albo nawet napotkana samotnie, może być wzięta za ptaka ciągnącego!

Ubarwienie słonki, jak wiadomo, składa się z barw: czarnej, brunatnej, rdzawej i szarej, ułożonych w skomplikowany deseń. Pomiędzy samcem a samicą niema żadnych s t a ł y c h różnic (największe okazy są p r z e w a ż n i e samicami), młode ptaki natomiast są więcej rude niż stare. Wśród starych trafiają się okazy więcej brunatne lub więcej szare. Ta zmienność upierzenia była powodem twierdzenia, że istnieją dwa gatunki czy dwie formy słonki w Europie. Wszystkie typy ubarwienia spotykane u nas są jednak tylko przykładem zmienności indywidualnej; nie mamy tu do czynienia ani z dwoma gatunkami, ani z dwoma formami geograficznemi. Na podstawie ubarwienia nie można wyróżnić żadnych form geograficznych słonki, od Anglji po Chiny — pod tym względem zgodni są wszyscy systematycy. Znany mi materjał muzealny wykazuje jedynie istnienie różnic indywidualnych.

Inna rzecz, że może jednak na tym obszarze słonka rozpada się na jakieś formy geograficzne, różniące się nie ubarwieniem, lecz innemi cechami, na które dotychczas nie zwrócono uwagi. W Polsce zauważono natomiast co innego, a mianowicie istnienie dwu różnych djalektów u słonek. Wspomniany już p. B. Kreczmer stwierdził pierwszy, że na wschodzie Polski słonki ciągnące powtarzają chrapnięcie trzy lub cztery razy i kończą gwizdem, natomiast w Polsce zachodniej chrapią tylko dwa razy i gwiżdżą. Moje obserwacje potwierdzają ten fakt. W literaturze nigdzie nie znalazłem wzmianki, by ktoś zwrócił na to uwagę. Jednakże autorzy, opisując chrapanie słonki, opisują go w sposób rozmaity. Tak np. Taczanowski, który bezwątpienia obserwował słonki głównie w Polsce środkowej, pisze „po podwójnem chrapnięciu gwiźnie" (w Tyzenhauza Oologji ptaków polskich), natomiast inną strofkę podają Menzbir — kwog, kwog, kwoog, tsi (Rosja), lub Steinfatt — quorr, quorr, quorr, quorr, pssiep (Prusy wschodnie). Wartoby zrobić dalsze obserwacje w różnych okolicach Polski. Istnienie różnych djalektów stwierdzono już, czasem w zależności od form geograficznych, czasem niezależnie od nich, u różnych gatunków ptaków.

Młode słonki opuszczają gniazdo wkrótce po wykluciu się, są bowiem typowymi zagniazdkownikami. Dość dawno już zaobserwowano, że samica słonki przenosi czasem młode w inne miejsce, gdy zagraża im niebezpieczeństwo. Spierano się wiele na temat tego, czy samica bierze pisklę w dziób, czy przytrzymuje go między dziobem a piersią, czy trzyma między nogami. Sprawa nie jest ostatecznie wyjaśniona, gdyż każdy z obserwatorów widział słonkę lecącą z młodem tylko bardzo krótko, zazwyczaj niespodzianie, tak że nikt dokładnie nie zaobserwował jak się rzecz ma, a tylko miał wrażenie, że niosła tak a tak. Najczęściej wydawało się obserwatorom, że niosła między nogami. Ostatecznie nie jest to takie ważne, jak się przenosiny odbywają, sam zaś ciekawy fakt przenoszenia piskląt jest rzeczą stwierdzoną niewątpliwie.

W ciągu sierpnia młode z drugiego lęgu stają się lotne, w końcu tego miesiąca zaczynają słonki po części wędrować ku południowi. Okresem, w którym można spotkać nielotne młode, jest koniec maja, czerwiec, druga połowa lipca i pierwsza sierpnia. Jest rzeczą nie budzącą zastrzeżeń, że w tym czasie należy się słonce całkowity spokój i ochrona. Polowanie na ciągu wiosennym pierwszym, przed pierwszym lęgiem, ma swych przeciwników. Z tego co było powiedziane wyżej, nie wynika jednak, by istniały ważne względy, przemawiające przeciw polowaniu na wiosnę, oczywiście w sposób umiarkowany.

ANDRZEJ DUNAJEWSKI.

DZIAŁANIE MYŚLIWSKIEGO STRZAŁU KULOWEGO NA ORGANIZM ZWIERZA

(Dalsze studium)

Problem, dlaczego jedna kula „lepiej", druga „gorzej" zwierza zabija, dlaczego zwierz jedną kulą trafiony pada na miejscu, a po innej kuli — choć również dobrze trafiony — idzie dalej i zmusza myśliwego do uciążliwego szukania postrzałka — nie został dotąd rozwiązany.

Przyczyna leży najpierw w tem, że szukaliśmy jego rozwiązania — że tak powiem — w „zewnętrznej" balistyce myśliwskiej, tj. badając chyżość początkową pocisku i jego formę, a zwracając może za mało uwagi na przejawy jego pracy destrukcyjnej w samym organizmie zwierza.

Nie przeczę, że dokładna sekcja ubitego zwierza jest rzeczą żmudną i tylko dla amatora interesującą — nie mówiąc już o zdeprecjonowaniu zwierza, pokrajanego na wszystkie strony.

Niniejsze studjum będzie obejmować jedynie momenty od chwili, gdy pocisk wtargnie do wnętrza organizmu zwierza, aż do chwili, gdy z niego wyszedł wzgl. w nim utkwił, nie przebijając go nawylot.

Nasze wiadomości na temat tego, co się w tej fazie w zwierzu dzieje i w jaki sposób się praca destruktywna odbywa, są bardzo skromne; wiemy po skrupulatnej — niestety tak rzadko się zdarzającej — sekcji które organy uszkodzone zostały i w jakim stopniu, stawiamy hypotezę o ciśnieniu hydraulicznem na naczynia krwionośne, (której to hypotezy jestem osobiście zdeklarowanym zwolennikiem) — i na tem kończą się zwykle nasze wiadomości.

Zajmując się z prawdziwem zamiłowaniem tym tematem od szeregu lat, doszedłem do pewnych wniosków, z któremi pozwolę sobie czytelników zapoznać, nie arrogując sobie żadną miarą tytułu, jakobym ten zawiły problem rozwiązał. Przypuszczam jednak, że moje uwagi i spostrzeżenia przyczynią się choć w małym stopniu do pewnego wyjaśnienia różnych zagadkowych przejawów i wydarzeń.

Zestawmy najpierw przesłanki, na których będziemy mogli oprzeć nasze w drodze dedukcji wyprowadzone wnioski:

1) Faktem jest niezbitym, że myśliwska kula „szybkobieżna" *) lepiej zabija niż „wolnobieżna" *).

2) Praktyka uczy, że im łatwiej (jednak nie za łatwo!) następuje deformacja pocisku, tem on lepiej zabija. Pocisk zaś nawet „szybkobieżny", nie ulegający jednak deformacji i o ostrym szpicu (np. pocisk wojskowy), mimo że przechodzi zwierza — z którejkolwiek strony strzelony — z reguły nawylot — zabija najgorzej.

To byłyby przesłanki.

Zasięgnijmy teraz opinji poważnych myśliwych naszych, co oni o tej kwestji sądzą. Tu są zapatrywania diametralnie rozbieżne. I tak jeden „brat-szlachcic" konserwatysta wierzy tylko w „breneki". Czasem trafi się jeszcze jakiś, który drugiemu — ale tylko do ucha, bo się wstydzi**) — szepce, że „jak Panie Dzieju bryźnie lotkami, to mu się najlepiej dzik przewraca".

Inny znowu, „ultra radykalny postępowiec", wyprzedzając milowemi krokami postępy całej modnej techniki broni — twierdzi, że „uznaje tylko taki sztuciec, z którego dzik gładko chybiony — w ogniu ruluje".

Są to jednak—jak widzimy—reprezentanci „skrajnego" konserwatyzmu wzgl. „skrajnego postępu".

Weźmy przeto pod uwagę opinję może nietyle skrajnych — ile bardzo doświadczonych myśliwych, mających nietylko bardzo dużo grubego zwierza w swoim dzienniku myśliwskim, lecz także zamiłowanych balistyków, badających skrupulatnie każdy niezwykły strzał i jego skuteczność.

Otóż jeden z nich, p. Z. H., rozporządzający około 40 letniem doświadczeniem myśliwskiem i znający się doskonale tak na broni, jak i na balistyce — i na którego sąd i gruntowność w badaniu skutków strzału z całem zaufaniem zdać się można — hołduje zasadzie, że „im grubszy zwierz, tem potężniejsza kula mu się należy", uznaje on na dzika kaliber 9 mm i chyżość początkową kuli najmniej 600 m/sek.

Tego samego zdania był jeden z naszych największych myśliwych Małopolski ś.p. Henryk Prek, który do jelenia na rykowisku, do niedźwiedzia i do dzików używał „Mannlichera — Schönauera" kal. 9.5 mm, a do rogaczy 6.7 mm „Schönauera".

Wprost przeciwnych zapatrywań jest jeden z naszych znakomitych myśliwych i jeden z najlepszych strzelców p. J. hr. D., który uznaje tylko Savage'a (kal. 5.6 mm., Vo = 914 m/sek.) i twierdzi, że właśnie ta broń najlepiej dziki zabija. Złośliwi przyjaciele imputują mu nawet „powiedzonko", że „dzik ze Savage'a w koniec ogona trafiony ruluje w ogniu"!

A ile dzików padło, pada i będzie jeszcze padać z Mannlichera-Schönauera kal. 6.7 mm.?! Moje osobiste doświadczenia z dzikami, choć niezbyt wielkie — przemawiają za tym kalibrem; strzelając bowiem ze sztućca repetjerowego o 55 cm. długiej lufie, osiągnąłem najlepsze rezultaty. Znakomity myśliwy i fenomenalny strzelec p. Cz., który bardzo wiele dzików ubił — używa od r. 1902 wyłącznie tego kalibru. Znana na całą Wsch. Małopolskę jest jego kwinteta na ściance dniestrowej, gdy to 5 razy repetując, położył 5 dzików.

Dużo zwolenników ma nabój t. zw. „rumun", sztuciec repetjerowy wzgl. podwójny sztuciec lub dryling o kal. 6.7 mm. lecz o nieco silniejszej dawce prochu. Jego zdeklarowanym zwolennikiem był ś. p. Kazimierz Marmarosz z Karowa, który zwyż 400 dzików w swojem życiu zabił. Tym kalibrem ubił p. St. K. około 22 jeleni karpackich.

Widzimy więc, że z tej „dżungli" praktycznych do-

---

*) Podział pocisków na „szybkobieżne" (t. j. o chyżości wylotowej: $V_0 > 675$ m/sec) i „wolnobieżne" $V_0 < 675$ m/sec) — jest dowolnie przezemnie zrobiony, ponieważ szukałem napróżno w naszej nomenklaturze balistycznej wyrażeń określających krótko te dwa pojęcia. Przez wprowadzenie tych dwóch nazw uniknę długiego, nudnego i wiele miejsca zabierającego każdorazowego określania tych pojęć. (Przyp. aut.).

**) Słusznie! Bo to wielkie paskudztwo! (Przyp. aut.).

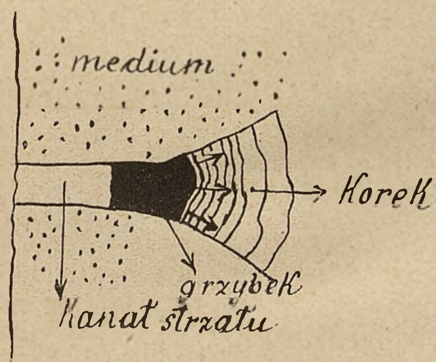
świadczeń i spostrzeżeń trudno jest wybrnąć i dojść do jakiegoś konkretnego wniosku, choć ich lekceważyć nie można, bo one stanowią jedyną realną podstawę do badań.

Musi jednak „dobre" wzgl. „złe" zabijanie nie leżeć wyłącznie w kalibrze i chyżości — lecz także musi mieć i inne przyczyny, których dotąd nie wzięto należycie pod uwagę.

Będę się starał na ślad ich natrafić.

Zgóry jednak zaznaczam, że moje wnioski będą mieć raczej charakter hypotez, opartych wprawdzie na licznych obserwacjach i na zasadach fizyki, a rzeczą dalszych badań, prób i obserwacji będzie zweryfikowanie ich trafności.

Rozpocznijmy naszą obserwację od chwili, gdy pocisk dotknął celu: po przebiciu skóry natrafia pocisk albo na kość, albo na mięso, żyły lub arterje, które — jak wiadomo — nie są niczem innem, jak włóknem, którego komórki są napełnione cieczą lub tłuszczem, czyli na system naczyń, napełnionych ciałem płynnem a nieściśliwem. Te stawiają pociskowi opór i powodują jego deformację — i to tem większą, im z większą chyżością pocisk w to „medium"*) wtargnął. Zdeformowany szpic pocisku przybiera formę „grzybka" i wypiera przed sobą cząstki „medium", które tworzą przed jego czołem zator, niby twardy „korek", ale o daleko większej średnicy, niż kaliber pocisku wzgl. średnica „grzybka". Ten „korek", stworzony ze zbitych włókien i nieściśliwej cieczy, jest tem ciałem, które właściwie bezpośrednio dokonuje przed pociskiem i nie jako w jego zastępstwie destrukcyjną pracę, patrz fig. 1.



Średnica tego „korka" zwiększa się, im głębiej pocisk w organizm wnika; powstaje „kanał strzału", którego początek ma średnicę pocisku, a która to średnica po otworzeniu się „grzybka" w dalszym jego biegu coraz bardziej się powiększa i wkońcu kilkakrotnie przewyższa kaliber kuli.

To zwiększenie średnicy „korka" tłomaczę formą „grzybka", która nigdy nie jest płaszczyzną pionową do osi pocisku, lecz zbliżona jest raczej do czaszy kuli; ponieważ elementy tej powierzchni prą cząstki „medium" w kierunku do nich prostopadłym, więc w tem upatruję przyczynę zwiększania się średnicy „korka".

Pod wpływem oporu jaki stawia „medium", zmniejsza się jednak chyżość pocisku — i to tem szybciej, im większy się „grzybek" utworzył i im większa średnica „korka". Im mniejsza jednak jego chyżość, tem mniejsza jest twardość „korka". Z chwilą, gdy pocisk, utraciwszy wszelką chyżość, zakończy swój bieg — następuje zupełne rozprężenie „korka" — i myśliwy, który zada sobie trud i zbada „kanał strzału", znajdzie w nim „siekaninę" t. j. poszarpane części ciała, a kucharz ubolewa, że tyle mięsa będzie musiał wyrzucić.

Gdy pocisk, zachowując jeszcze odpowiednią chyżość, zdoła zwierza przejść nawylot, zdarza się bardzo często, że wyrzuca on nazewnątrz kawałki mięsa, wnętrzności, kości i t. p. „A to go Panie Dzieju kula wypatroszyła!" — mruknie szczęśliwy Nemrod. Mam wrażenie, że sprawcą tego jest raczej „korek", niż „grzybek" pocisku. Świadczy o tem „wylot", często wielkości pięści.

Często trafia się, że pocisk pcha jakiś czas przed sobą „korek", poczem nagle z niewiadomej przyczyny zbacza pod dość dużym kątem od kierunku trajektorji, zostawia „korek" na boku i tworzy „wylot" w miejscu zupełnie nieoczekiwanem. Widziałem raz strzał do dzika, dany dokładnie „na połeć" (t. j. pionowo do kierunku, w którym szedł dzik), przyczem „wlot"*) był dokładnie na komorze — „wylot"*) zaś skonstatowaliśmy koło zadniej szynki! Przy tego rodzaju strzałach przedstawia się rozprężony „korek" wewnątrz jako pokaźna ilość „siekaniny" — „wylot" zaś jest stosunkowo mały, zwykle wielkości „grzybka". Słyszy się wówczas: „A to mu flaki pocharatało!".

A teraz jeszcze jedna okoliczność, na którą głównie chcę zwrócić uwagę.

Mianowicie modny pocisk, wyszedłszy z gwintowanej lufy, obraca się z dość dużą chyżością dokoła swej osi — i to z tem większą, im większy skręt gwintów i im większa jego chyżość wylotowa. Chyżość obrotu około swej osi — jak długo pocisk porusza się w powietrzu — zmniejsza się wskutek tarcia o powietrze tylko w bardzo małym stopniu, możemy więc, nie popełniając wielkiego błędu, przyjąć, że (biorąc pod uwagę odległość myśliwskiego strzału, t. j. do 300 m.) chyżość obrotu, gdy pocisk dotknie celu, jest prawie taka sama, jaką była przy opuszczeniu wylotu lufy.

Dopiero gdy pocisk wtargnie w organizm zwierza, zaczyna chyżość obrotu około osi maleć i to tem szybciej, im większy „grzybek" się utworzył i im większy opór dane „medium" stawia — i dochodzi do zera, jeśli pocisk nie zdoła przejść zwierza nawylot.

Gdy pocisk jest w swej całej długości opancerzony i ma szpic nie ulegający deformacji, np. pocisk wojskowy — to ten obrót pocisku dokoło swej osi, przypominający ruch świderka, pomaga raczej do przezwyciężenia oporu i powoduje, że pocisk w dane „medium" łatwiej i głębiej wchodzi. Gdy jednak pocisk — jak to ma miejsce przy pocisku myśliwskim — jest tak skonstruowany, że wchodząc w „medium" tworzy „grzybek", to ten ruch rotacyjny około swej osi ma podwójny skutek, a to: „grzybek" swoją zębatą krawędzią przecina, niby ostrzem piły, warstwy „me-

*) Umyślnie zasięgnąłem z dziedziny minerstwa wyrazu „medium", którym górnik wzgl. miner określa ciało, wystawione na działanie miny; upatruję bowiem pewne pokrewieństwo pojęć między działaniem pocisku na organizm zwierza z działaniem miny np. w ziemi. (Przyp. aut.).

*) Miejsce, w które pocisk zwierza trafił, nazywam dla krótkości „wlotem" — zaś miejsce, którem wyszedł: „wylotem". Zdaję sobie sprawę, że to ostatnie określenie koliduje poniekąd z „wylotem lufy" lub „wylotami kontusza" — ale nie przyszło mi chwilowo nic lepszego na myśl. Byłbym bardzo wdzięczny za podanie jakiegoś bardziej trafnego nazwania. (Przyp. aut.)

dium" — co powoduje w pewnym stopniu rozszerzenie się „kanału strzału" i ułatwia tworzenie się „korka" — a dalej przyśpiesza odrywanie się części grzybka i pozwala im wtargnąć w organizm zwierza dokoła „kanału strzału".

Będziemy się zajmować głównie działaniem ułamków „grzybka", wzgl. płaszcza, które dla krótkości będę nazywał „odpryskami".

Pierwsze pytanie będzie brzmieć, ile w przybliżeniu tych „odprysków" oczekiwać należy?

Oprócz wielkości pocisku a dalej jego konstrukcji, nastawionej — jak wiadomo — na dawanie możliwie wielkiej ilości odłamków, gra tu rolę bardzo wielką także chyżość, z jaką pocisk w cel uderza (chyżość wlotowa: Va), a ta różni się dość znacznie od chyżości wylotowej (Vo).

Bardzo ciekawe próby na ten temat przeprowadzono w Niemczech (R. W. S.) przy sposobności badań nad działaniem pocisków „H".

Użyto do prób kalibru 8 mm. (t. j. naboju 8×57I) jako najbardziej w Niemczech używanego; strzelano pociskami jednakowej wagi, przy mniej więcej jednakowej chyżości wylotowej i na jednakowe odległości (t. j. na 50 m., 100 m. i 200 m.). Strzelano pociskami o wadze 12,7 gr. i osiągnięto u celu następujące chyżości wlotowe (Va):

Forma pocisku	V_0	V_{a50}	V_{a100}	V_{a200}
Normalne pociski dawnej formy	775m/sek	715m/sek	660m/sek	560m/sek
Pocisk H z miedzianym próżnym szpicem	760 „	730 „	705 „	660 „
Pocisk H z ołowianym pełnym szpicem	760 „	725 „	695 „	640 „

Widzimy, że przy pociskach dawnej formy (np. ekspanzywny pocisk o pełnym płaszczu lub półpłaszczykowy pocisk) już na 115 m. jest spadek chyżości o 100 m./sek. — podczas gdy pocisk H o miedzianym próżnym szpicu tylko 55 m./sek. swej wylotowej chyżości utracił.

Cyfry powyższe demonstrują jaskrawo, jak dużą rolę gra tu forma szpica pocisku.

Dalsze, niezwykle ciekawe próby szły w kierunku ilości i formy „odprysków" oraz głębokości ich wnikania w dane „medium". Dopiero one dają — choć tylko w przybliżeniu — prawdziwy obraz tego, co się w organizmie zwierza dzieje. Przeprowadzono je w następujący sposób.

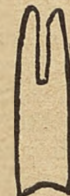
Zestawiono najpierw mieszaninę materjału, która stawia mniej więcej ten sam opór, co organizm zwierza (z wyłączeniem kości) i wypośrodkowano jaka grubość tego „medium" odpowiada oporowi, jaki stawia zwierz wielkości sarny, wzgl. zwierz wielkości grubego dzika lub dużego jelenia — w obu wypadkach przy strzale „na połeć".

Potem wzięto „medium" odpowiadające co do oporu dzikowi i umieszczono w odpowiedniem naczyniu (t. j. skrzynce), poczem dano do niego po dwa strzały na 50 m., 100 m., 200 m. i dalej.

Jako naboju użyto wyżej wymieniony 8×57I — poczem wydobyto „odpryski", ustalając położenie każdego i badając skrupulatnie, ile z nich utkwiło w „sarnie", ile w „grubym dziku" i wkońcu kiedy pocisk wzgl. jego części przebiły nawylot tego ostatniego. W załączonych zdjęciach są zestawione w części „a" odpryski obu(!) pocisków, znalezione w „medium", odpowiadającem co do wielkości oporu sarnie, w części „b" widzimy „odpryski" znalezione w dalszej grubości, odpowiadającej już dzikowi, zaś w części „c" kawałki pocisku, które „dzika" nawylot przeszły.

Próby na 50 m.

Próba 1


Fig. 2.

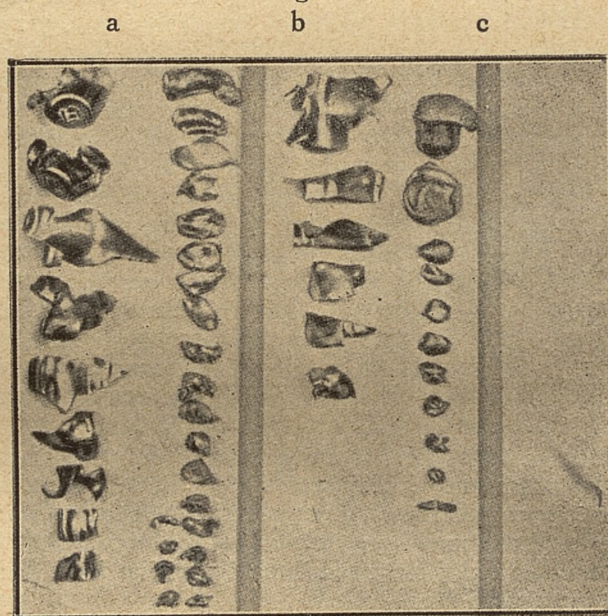
Pocisk dawnej formy, ekspanzywny, o pełnym płaszczu — patrz przekrój obok (fig. 2).

Chyżość wlotowa: V_{a50} = 720 m./sek.

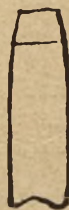
Działanie pocisku: obydwa pociski rozleciały się zupełnie, dając w sumie w „sarnie" 27, a w „dziku" 16 odprysków, z których żaden „medium" nawylot nie przeszedł — fig. 3.

fig. 3

a b c



Próba 2


Fig. 4.

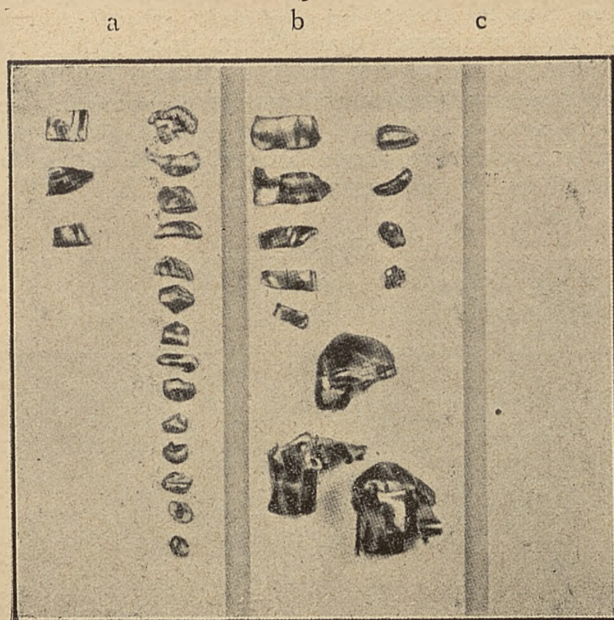
Pocisk normalny, półpłaszczykowy ścięty — patrz fig. 4 obok.

Chyżość wlotowa: V_{a50} = 720 m./sek.

Działanie pocisku podobne, jak poprzednio, t. j. mniej więcej połowa odprysków ugrzęzła w „sarnie", połowa zaś wtargnęła w „dzika" i nie przebijając „medium" nawylot — patrz fig. 5.

fig. 5

a b c



Próba 3



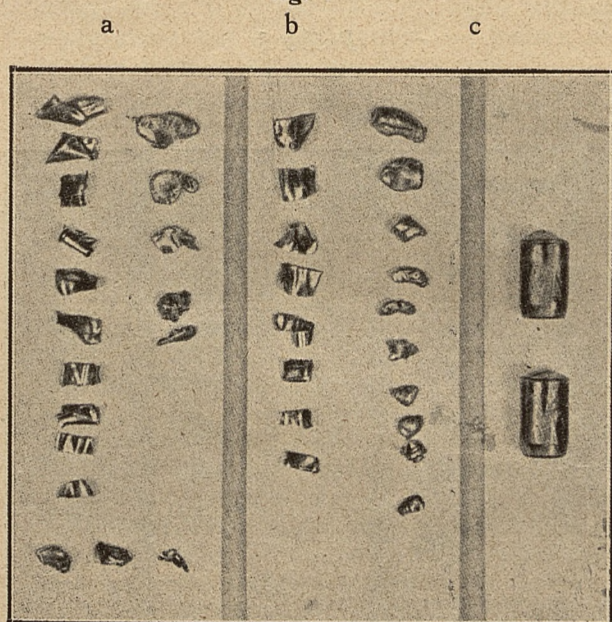
Pocisk H o miedzianym, próżnym szpicu — patrz fig. 6 obok.

Chyżość wlotowa: Va_{50}= 720m./sek.

Połowa odprysków utkwiła w „sarnie", połowa wtargnęła w „dzika"—zaś dolna część pocisku o wadze 6.6 gr. przebiła „medium" nawylot — fig. 7.

fig. 7

a b c



Próba 4



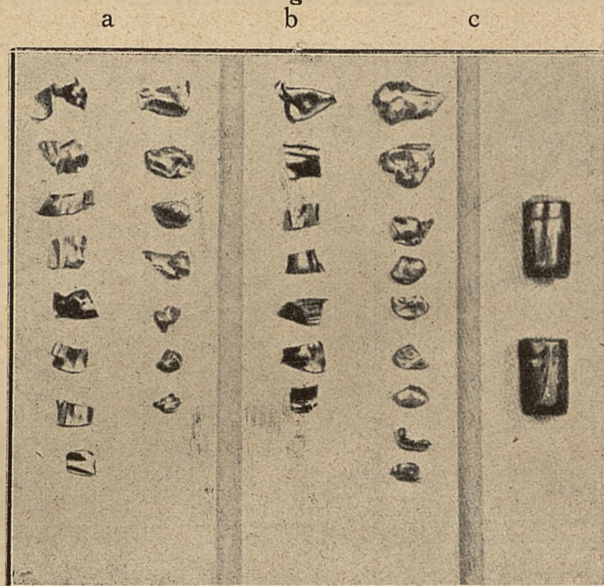
Pocisk H o pełnym, ołowianym szpicu — patrz figura 8 obok.

Chyżość wlotowa: Va_{50}= 720 m./sek.

Działanie pocisku identyczne z działaniem pocisku H o miedzianym, próżnym szpicu — patrz fig. 9.

fig. 9

a b c



Próby na 100 m.

Próba 1

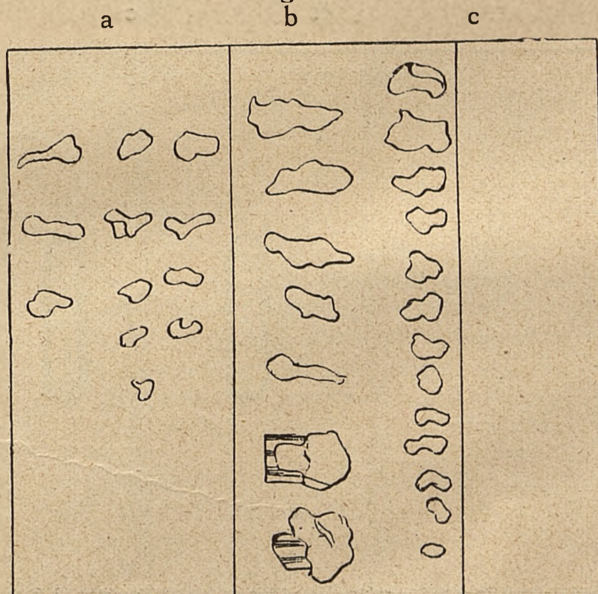
Pocisk ekspanzywny o pełnym płaszczu — jak przy próbie 1 na 50 m. (fig. 2).

Chyżość wlotowa: Va_{100}=660 m./sek.

Działanie: większa część odprysków wyszła ze „sarny" i utkwiła w „dziku" — nie dając żadnej przestrzeliny nawylot — fig. 10.

fig. 10

a b c



Próba 2

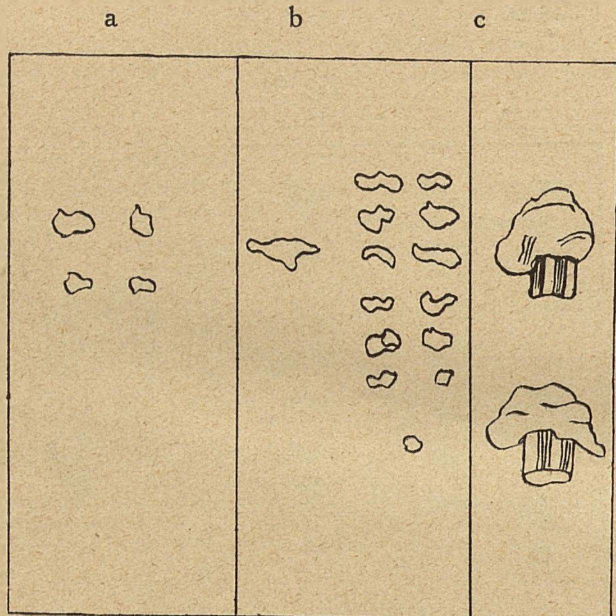
Pocisk normalny, półpłaszczykowy, tępo ścięty — jak przy próbie 2 na 50 m. — fig. 4.

Chyżość wlotowa: V_{a100}=660 m./sek.

Działanie: tworzenie się odprysków spóźnione, bo w „sarnie" ledwie 5 sztuk drobnych; reszta dopiero w „dziku". Spody obu pocisków p r z e s z ł y n a w y l o t — patrz fig. 11.

fig. 11

a b c



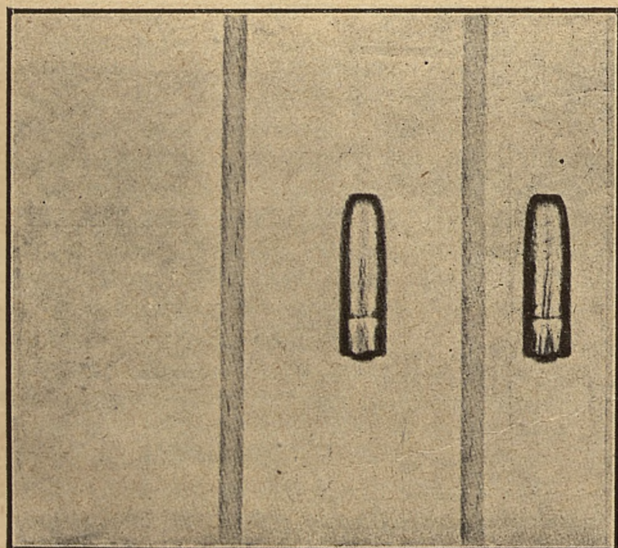
Analogiczne próby z pociskami H na odległość 100 m. dały prawie identyczne rezultaty, jak strzały temi pociskami na 50 m. — co jest tembardziej zrozumiałe, że chyżość wlotowa V_{a100} wynosi w tych pociskach około 700 m./sek.

Próby na 200 m.

Próba 1

fig. 12

a b c



Pocisk ekspanzywny o pełnym płaszczu — jak przy próbie 1 na 50 m. (fig. 2).

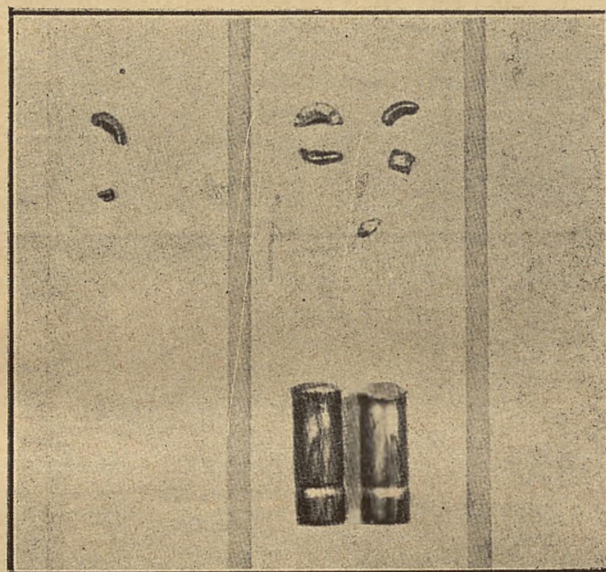
Chyżość wlotowa: V_{a200}=560 m./sek.

Działanie: pocisk nie uległ ż a d n e j deformacji, jeden z pocisków przeszedł nawylot — fig. 12. Jest duże prawdopobieństwo, że na tę odległość wzgl. przy tej chyżości wlotowej zwierz nawet dobrze trafiony nie byłby padł na miejscu.

Próba 2

fig. 13

a b c



Pocisk normalny, półpłaszczykowy, tępo ścięty — fig. 4.

Chyżość wlotowa: V_{a200}=560 m./sek.

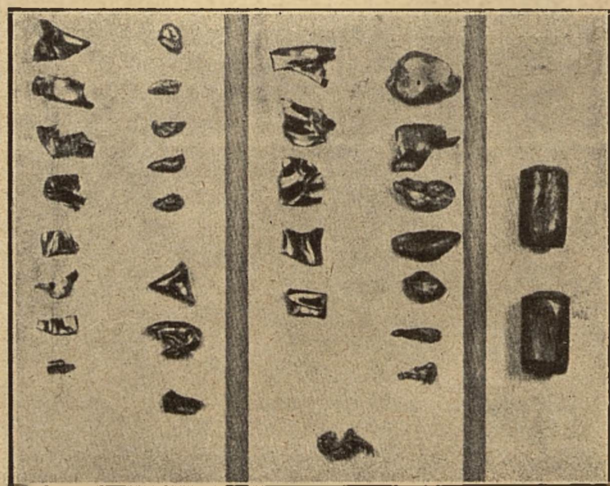
Działanie: w pierwszej warstwie „medium" („sarna") bardzo mała deformacja, ledwie dwa małe odpryski; w dalszym ciągu uległ deformacji tylko nieopancerzony szpic. Reszta pocisku została w „medium", n i e przebijając „dzika" nawylot — fig. 13.

Działanie więc obu tych gatunków pocisku należy uważać za niewystarczające.

Próba 3

fig. 14

a b c

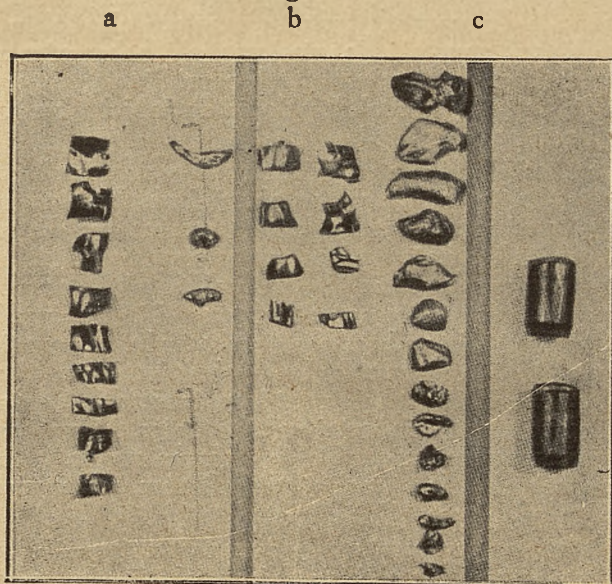


Pocisk H o miedzianym, próżnym szpicu — fig. 6.
Chyżość wlotowa: Va_{200}=660 m./sek.
Działanie: połowa odprysków jest już w przedniej części („sarna") — reszta w tylnej („dzik").
Dolne części obu pocisków przeszły nawylot — fig. 14.

Próba 4.

fig. 15

a b c



Pocisk H o ołowianym szpicu — patrz fig. 8.
Chyżość wlotowa: Va_{165}=660 m./sek.
Chcąc tym pociskiem uzyskać tę samą chyżość, co przy pocisku H o miedzianym szpicu (t. j. 660 m./sek.) musiano strzelać na odległość 165 m. Szpic bowiem pocisku H o ołowianym końcu nie jest tak ostry i pruje trudniej powietrze, tracąc przez to szybciej swą chyżość.

Działanie: w przedniej części („sarna") jest mniej odprysków — reszta ich tkwi w tylnej części („dzik"); spody obu pocisków przeszły nawylot — patrz fig. 15.

Przeprowadzono jeszcze szereg analogicznych prób z temi czterema rodzajami pocisków także na dalsze odległości, t. j. na 300—400 m., które wykazały przewagę pocisków H nad innemi — jednak dla braku miejsca pominę ich szczegółowy opis.

Jak już nadmieniłem, próby wykonano z nabojem szybkobieżnym 8×57I. Jestem przekonany, że próby w innym kalibrze i z innemi pociskami dałyby odmienne rezultaty. Ktoby więc, posiadając sztuciec innego kalibru niż 8×57I — chciał odnośnie do swojej broni przeprowadzić analogiczne próby, temu rekomenduję następujący sposób: skrzynkę o wymiarach 50 cm. × 50 cm. × 75 cm. napełnić gliną wilgotną, starannie oczyszczoną z kamyków i t. p. ciał twardych, o konsystencji mniej więcej gęstego powidła, układając warstwami grubości 5 cm. i przysypując każdą z nich suchym piaskiem — poczem na każdą warstwę nałożyć karton z cienkiej tektury i znowu lekko piaskiem przysypać; w ten sposób otrzymamy 15 warstw, przegrodzonych między sobą kartonami. Warstwy piasku z obu stron każdego kartonu mają na celu możliwość wyjęcia kartonów po strzałach bez zasmarowania ich lepką gliną.

Zamknięcie skrzynki uskutecznia się cieniutką deszczułką; na tej ostatniej naklejamy cel i strzelamy. Po rozebraniu skrzynki i wyjęciu kartonów dają nam przestrzeliny na nich obraz „kanału strzału" i ugrupowanie „odprysków".

*

Próby wyżej opisane wykazały w przybliżeniu, co się dzieje w organizmie zwierza, gdy pocisk weń wtargnął. Stwierdzono, że ilość odprysków zdeformowanego pocisku jest tem większa, im większa jego chyżość wlotowa.

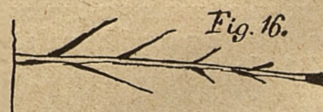
Praktyka zaś stwierdza ponad wszelką wątpliwość, że im większa jest ilość tych odprysków, tem pewniej pada zwierz na miejscu.

To twierdzenie znajdzie także teoretyczne uzasadnienie, jeśli weźmiemy pod uwagę chyżość, z jaką odpryski w organizmie zwierza się rozchodzą, przypominając poniekąd działanie ziarn śrutu; przecież tu żaden nabój śrutowy nie może iść w porównanie choćby dlatego, że maksymalna, wogóle normalnie osiągalna chyżość śrutów wynosi ok. 340 m./sek., podczas gdy np. pocisk H (8×57I) nawet na 400 m. ma jeszcze Va_{400}=560 m./sek., czyli że odpryski nawet z uwzględnieniem opóźnienia, wywołanego pierwszym oporem organizmu (skóra, sierść i t. p.) wzgl. tworzeniem się „grzybka" — mają daleko większą chyżość, niż np. śrut u wylotu lufy. Zmniejsza wprawdzie penetrację odprysków fakt, że forma pojedyńczych ułamków jest nieregularna, przypomina „siekaniec" i nie można tu nawet mówić o jakiemś „obciążeniu przekroju".

Tworzenie się „grzybka" i odrywanie się jego pojedyńczych ułamków nie następuje równocześnie, lecz stopniowo wzdłuż „kanału strzału", co najlepiej udowodniły opisane próby. Rezultatem tego nierównomiernego odrywania się jest, że cała przestrzeń wzdłuż „kanału strzału" jest niemi porażona.

Trudno jest powiedzieć coś pozytywnego na temat penetracji odprysków; ta bowiem jest bardzo różna, zależnie od wielkości, formy, a przedewszystkiem od chyżości, jaką dany „odprysk" w chwili oderwania się od „grzybka" posiada.

I tak przypominam sobie np., że w jednej kozicy, strzelonej na sztych z 6.7 mm. Mannlichera-Schönauera znaleźliśmy ułamki płaszcza w odległości około 20 cm. od „kanału strzału". Był to może wyjątek, ale w każdym razie przestrzeń wzdłuż „kanału strzału" w promieniu 6—8 cm. — patrz fig. 16 — jest niemi pocięta. Ile nerwów, arterji, naczyń krwionośnych, muskułów, ścięgien i t. d. jest niemi porażonych?! Tego nawet w przybliżeniu nie można powiedzieć.



Jak nikłym wobec tego jest zasięg działania pocisku, choćby największego kalibru, gdy niema „odprysków", wzgl. jak potwornym musiałby być pocisk, nie dający odprysków, by choć w przybliżeniu osiągnąć działanie np. pocisku H w kalibrze 8 mm.?

Pociski H łączą w sobie jeszcze ten awantaż, że dolna ich część, opatrzona grubszym płaszczem, zamknięta pierścieniem i napełniona nieco twardszym ołowiem, nie rozlatuje się już na dalsze ułamki, lecz pruje niby tępy stempel dalej i z reguły przebija zwierza nawylot, dając obfitą farbę. Zdaje się, że trudno jest o bardziej zabójczy pocisk. Prak-

tyka potwierdza to, bo coraz więcej głosów słyszymy stwierdzających, że pod działaniem pocisków H padają nawet najgrubsze dziki i karpackie jelenie w ogniu, a postrzałki po „miękkich" strzałach, dzięki obfitej farbie, są łatwe do znalezienia nawet na „szarej stopie".

Dla potwierdzenia trafności moich hypotez pozwolę sobie jeszcze jedno spostrzeżenie przytoczyć. Mianowicie wszyscy myśliwi, którzy przeżyli wojnę światową, pamiętają niewątpliwie te czasy tuż po wojnie, w których wogóle nie można było nabyć nabojów kulowych myśliwskich, albo za bardzo wysoką cenę i w bardzo ograniczonej ilości; poczęto tedy wedle przysłowia: „potrzeba jest matką wynalazków" adaptować wojskowe naboje do celów myśliwskich, usuwając przy pomocy pilnika płaszcz stalowy ze szpica pocisku i robiąc świderkiem dziurkę ekspanzyjną. Ponieważ ołów w pociskach wojskowych jest specjalnie twardy, a także płaszcz pocisku wojskowego grubszy, niż przy pociskach myśliwskich, więc rezultaty osiągnięte temi pociskami były bardzo marne; do rzadkości należało, by zwierz padł w ogniu; zwykle uciążliwe poszukiwanie postrzałków — a bardzo wiele sztuk potrzelonych przepadało wogóle. Pocisk w ten sposób spreparowany nie tworzył z reguły „grzybka" i przechodził zwierza nawylot, nie dając wcale farby lub tylko w minimalnej ilości, o ile kula nie trafiła przedtem na jakąś grubszą kość.

Nauczeni licznemi przykremi doświadczeniami, zaczęli preparatorzy pocisków wojskowych nadcinać pilnikiem płaszcz na kilka mm. przy dziurce ekspanzyjnej i w ten sposób ułatwili do pewnego stopnia tworzenie się „grzybka"; rezultaty osiągnięte temi pociskami były już lepsze, szczególnie o ile chodziło o grube dziki; destrukcyjne działanie takiego pocisku w organizmie zwierza było analogiczne, jak przy pociskach półpłaszczykowych — lecz w daleko mniejszym stopniu.

Obserwacja powyższa na pociskach wojskowych utwierdza mnie w mniemaniu, że tylko w tworzeniu się „grzybka" i w dalszych jego destrukcyjnych przejawach (działanie „odprysków" i „korka") leży zdolność pocisku zabijania zwierza na miejscu.

*

Do jakich wniosków dochodzimy?

Pzedewszystkiem należy w imię objektywności stwierdzić, że próby przeprowadzane w Niemczech z inicjatywy R. W. S. w kalibrze 8 mm. stanowią za małą podstawę, by jakieś absolutnie pewne wnioski z nich wyciągnąć. Są one jedynie wskazówką, w jakim kierunku i w jaki sposób należy prowadzić badania, by dojść do czegoś pozytywnego.

Wszak istnieją naogół 3 grupy kalibrów, używanych w myślistwie europejskiem, które należałoby poddać próbom — t. j. 6.5 mm., 8 mm. i 9.3 mm — przyczem należy wziąć pod uwagę, że w każdej z nich są bardzo liczne warjanty odnośnie do gatunków i wagi dawki prochu, a więc i chyżości początkowej, która — jak to starałem się wykazać — gra tu najważniejszą rolę.

Mam osobiste przekonanie, że próby w każdej grupie wykażą coś nowego, co może rzuci jakieś nowe światło na ten dotąd nierozwiązany problem „dobrego" wzgl. „złego" zabijania.

Jak wdzięczne zadanie przedstawiałyby te próby dla Stacji Badań Broni Myśliwskiej w Rembertowie, powołanej do życia przez P. Z. Ł., gdyby ta zechciała się tem zainteresować!

Nie znam organizacji tej instytucji, wyobrażam sobie jednak, że jest zbliżoną do Niemieckiej Stacji Doświadczalnej w Wannsee i pracuje analogicznemi metodami, jak ta ostatnia; jestem tego zapatrywania, że oprócz fachowców tej instytucji należałoby także do współpracy zaprosić doświadczonych fachowców-myśliwych i praktyków, stojących poza Stacją; nie wątpię, że zespół ten zdołałby dojść do jakichś konkretnych rezultatów.

Jest to jednak dla polskich myśliwych rzecz bardzo ważna, bo te rezultaty w dalszej konsekwencji mogłyby mieć, oprócz teoretycznego znaczenia dla myśliwych, także duży wpływ na rozwiązanie następującego problemu: oto nie ulega wątpliwości, że przecież raz zaczniemy w Polsce, owym „raju dla myśliwych", fabrykować własną broń myśliwską i własną amunicję kulową. Główną przeszkodą — obok konkurencji zagranicy — jest ta okoliczność, że trudno jest ustalić jakiś model wzgl. kaliber i nabój sztućca, któryby wystarczał na zwierzynę w Polsce żyjącą; trudno bowiem wyrabiać taką masę sztućców i kalibrów, jak to ciągle jeszcze w Niemczech widzimy.

Możebyśmy wówczas, ustaliwszy w ten sposób broń, kaliber i pocisk, mogli zacząć wyrabiać własną myśliwską amunicję kulową.

Mam wrażenie, że u nas wystarczyłyby dwa kalibry, a to: 6.5 mm i 8 mm. lub 9.3 mm. — pierwszy na rogacze i dziki, drugi na jelenie, łosie, niedźwiedzie i bardzo grube dziki.

Musiałyby to jednak być sztućce o wypróbowanym, pewnie i dobrze zabijającym naboju.

To zaś możnaby ustalić, znając choć w przybliżeniu cały proces destrukcyjny w organizmie zwierza; tę zagadkę należałoby najpierw próbami — jak je powyżej opisałem — choć w przybliżeniu wyjaśnić, zanim je praktyka w kniei zweryfikuje.

*

Jednak już te skromne, wyżej opisane próby pozwalają na pewne wnioski odnośnie do wartości myśliwskiej niektórych nabojów. Widzimy np., że tak często używany przez naszych myśliwych pocisk ekspanzywny o pełnym płaszczu, o ile dochodzi do celu z chyżością powyżej 600 m./sek. — rozkłada się w całości na cenne „odpryski", zabija, zdaje się, dobrze, nie przechodzi jednak grubego zwierza nawylot; gdy zaś chyżość takiego pocisku opadnie poniżej 600 m./sek. — to on wogóle nie deformuje się, o ile jakaś grubsza kość nie została trafiona.

Nie o wiele lepszym zdaje się być pocisk półpłaszczykowy, tępo ścięty.

W świetle tych prób znajduję poniekąd wytłomaczenie kilku zagadkowych wypadków z mojego skromnego myśliwskiego życia, gdy to jeszcze za podporucznikowskich czasów polowałem z 8 mm. Mannlicherem. I tak: jeden kozioł, strzelony kulą ekspanzywną bardzo dobrze na komorę, poszedł niby gładko chybiony — nie dając kropli farby — a po 100 krokach leżał; kula siedziała na komorze, „wylot" równy „wlotowi".

Taką samą kulą z tej samej broni strzeliłem do dzika na około 60 kroków — poszedł bez kropli farby. Ponieważ wówczas strzelałem kulami lepiej niż dziś, a dzik szedł truchtem po otwartej halawie, więc go chybić nie mogłem. W kilka tygodni później dowiedziałem się, że dzika chłopi znaleźli zaraz następnego dnia o 1000 kroków od miejsca strzału. Wówcza „spławiłem" Mannlichera i przeszedłem z powrotem na „kniejówkę" 16—11.6, która miała wprawdzie wolną kulę o dużym opadzie, ale zawsze dawała „farbę", jak z konewki.

Gdyby Bracia w św. Hubercie zechcieli dopomódz, ileby takich bardzo pouczających wypadków można spisać?! Tomy całe!

I tu zwracam się z gorącym apelem do Panów Kolegów Myśliwych, polujących na jelenie w Karpatach, aby zechcieli działaniu pocisków poświęcić nieco uwagi, a przedewszystkiem by zechcieli pokonać swój piórowstręt i opublikowali swoje spostrzeżenia w prasie łowieckiej.

Wszak ogólnie znaną rzeczą jest, że mięso starego byka w czasie rui jest z powodu swego wstrętnego zapachu nie do użycia; dlatego myśliwy tylko na skórę i wieniec reflektuje, a resztę zostawia Hucułom i lisom. Ta sama historja jest ze starym odyńcem; szable, fajki i skóra dla szczęśliwego myśliwego — a na resztę trudno znaleźć amatora. Jest to więc doskonała sposobność do przeprowadzenia gruntownej sekcji — jest bowiem zwykle i czasu dosyć i poćwiartowanie obielonego zwierza nie jest połączone z żadną materjalną stratą.

W r. 1938 padło na rykowisku w Karpatach 95 jeleni; gdybyśmy tylko 10% z tego poddali sekcji, jakże obfitym byłby materjał dla badacza balistyki myśliwskiej!

Np. jednemu z naszych czołowych myśliwych dała Diana cudowne spotkanie z niedźwiedziem w Karpatach i sposobność wpakowania mu 4 kul. Szczęśliwiec opisał to prześlicznie w „Ł. P." Nr. 31/38. Niestety nie podał ani jakim kalibrem wzgl. nabojem strzelał, ani jakie były w organizmie zwierza skutki strzałów! Jaka szkoda!

Jak np. w świetle tych prób wyglądają strzały do zwierzyny różnemi „brenekami" i t. p. pociskami do gładkich luf? Oto niema oczywiście mowy o jakiemś działaniu „odprysków", bo pocisk taki, trafiony nawet na kość, tworzy bardzo słaby „grzybek"; również przy chyżości wlotowej $V_{a25} = 300$ m./sek. nie można oczekiwać działania ciśnienia hydraulicznego. Następuje tylko dość duża praca destrukcyjna (niby tępym stemplem o średnicy około 16—18 mm.) w organizmie wzdłuż „kanału strzału"; pocisk sam — jak mnie zapewniano — przechodzi zwykle zwierza nawylot, dając bardzo obfitą farbę, co jest zawsze bardzo dużym awantażem. Strzały — wprawdzie tylko na bliską odległość — są jednak bardzo skuteczne, jak twierdzą amatorowie tego pocisku. Osobiście nie mam żadnego w tym kierunku doświadczenia, nie używając ich zupełnie. Również nie miałem nigdzie sposobności przeprowadzenia sekcji dzika, ubitego „brenekiem". Byłoby bardzo interesujące, gdyby któryś z Panów Myśliwych, mających w tym kierunku doświadczenie — zechciał podzielić się swojemi obserwacjami na łamach prasy łowieckiej.

Analogicznie jak „brenek" działa staromodna, lecz jeszcze ciągle u nas dość używana, tępo ścięta, pełna kula bezpłaszczykowa, ekspresowa — z tą tylko różnicą, że tworzy słaby „grzybek", mając prawie o 200 m./sek. większą chyżość wylotową.

Również byłaby bardzo interesująca sekcja zwierzyny, ubitej temi najmodniejszemi, szybkobieżnemi pociskami, jak np. „Vierling", ulepszony 6.7 mm. Mannlicher-Schönauer, ulepszony Savage — a przedewszystkiem „Super-Express" Vom Hofe. Ostatnie trzy mają chyżość wylotową ponad 1000 m./sek.

*

Kończę niniejsze studjum gorącym apelem pod adresem naszej Stacji Badań Broni Myśliwskiej w Rembertowie o objęcie swoim programem pracy także badań w kierunku działania pocisków myśliwskich i przeprowadzenia analogicznych prób, jak w Niemczech — a dalej do Braci w św. Hubercie, aby publikacjami swoich spostrzeżeń na polowaniach zechcieli dostarczyć materjału do weryfikacji teoretycznych rozważań i prób.

INŻ. WALERY MARYAŃSKI

Na Pożyczkę Obrony Przeciwlotniczej

Na skutek odezwy Komitetu Wykonawczego Polskiego Związku Łowieckiego („Łowiec Polski" z dnia 15.IV), nawołującej członków Pol. Związku Łowieckiego do uczestniczenia w subskrypcji Pożyczki Obrony Przeciwlotniczej, Kółko Myśliwskie w Marculach pow. iłżeckiego, należące do organizacji zrzeszonych w Polskim Związku Łowieckim, na Walnem Zebraniu Kółka, uchwaliło przyjęcie udziału w Pożyczce, przeznaczając na ten cel złotych 1.000 (tysiąc).

Suma powyższa została przez Zarząd Kółka niezwłocznie zadeklarowaną w K.K.O. w Wierzbniku i pieniądze w całości wpłacone.



Literatura polska w dniu 7 marca rb. obchodziła setną rocznicę przyjścia na świat jednego ze znakomitych powieściopisarzy swoich z drugiej połowy XIX w. — Adolfa Dygasińskiego.

Urodził się w Niegosławicach pow. pińczowskiego, dziś woj. kieleckiego.

Rozpocząwszy po czterdziestym roku życia swoją działalność powieściopisarską, Adolf Dygasiński ze swej bogatej umysłowości przez dwadzieścia jeden lat pracy wysnuł koło 35 tomów, a przez połowę — bezmała — tej literackiej karjery, wiele czasu poświęcać musiał zawodowi nauczycielskiemu. Daje nam to miarę jego wysiłków i trudów.



ADOLF DYGASIŃSKI.
1839—1902

W piśmiennictwie zasłynął przedewszystkiem cyklem swoich opowiadań t. zw. zwierzęcych. Dygasiński pisał w opowiadaniach swoich o ptactwie polskiem, psach, zającach, lisach, wilkach, i ten świat czynił „bohaterami' powieści. Niektóre z nich, jak: „As", „Zając" „Wilk", „Psy i ludzie", „Łabędzia woda", „Co się dzieje w gniazdach", „Mysikrólik" mają ustaloną opinję arcydzieł.

Ale świat ludzki, jako temat, mimo wszystko przeważa w jego twórczości, ten to świat mając za przedmiot obserwacji, pisał powieści i nowele obyczajowe i społeczne. Zajmowały go sprawy zdrowia socjalnego („Gorzałka'), sprawy życia miejskiego („Nowe tajemnice Warszawy"), sprawy, któreby można nazwać historjozofją warstwy ziemiańskiej („Pan Jędrzej Piszczalski') i wiele innych.

Ale to, co najsilniej interesowało jego twórczość, to w „świecie ludzkim" był lud wiejski i lud miejski w najrozmaitszych swoich odmianach.

Spracowane ręce ludzkie — to pierwsze na świecie Bożym rzucało się w oczy Dygasińskiemu.

Mimo tak silnego nabrzmienia struny socjalno-moralistycznej społeczny walor nie daje nam jeszcze pełnego sądu o obliczu twórczym Dygasińskiego. Jakby podglebna, żadnym zmianom nie ulegająca warstwa, spoczywało w Dygasińskim u c z u c i e n a r o d o w e, sięgające jakichś nieistniejących powiązań duszy z ziemią rodzinną. Niepospolicie wykształcony, zrośnięty idealnie z całym europejskim ruchem umysłowym i pod tym względem jeden z niewielu u nas w tych czasach Europejczyk prawdziwy — Dygasiński sercem i instynktem nie widział świata poza Polską. Przyrodę, której był tak autorytatywnym znawcą, widział zawsze w ramach powietrza polskiego, ziemi polskiej, polskiego zwierza na polu i w lesie, polskiej wierzby przy chałupie i krzyża przy polskiej drodze.

Krótki ten rys twórczości, daje nam wyobrażenie jak nawskroś d z i s i e j s z y m autorem stać się on może, mimo że setną już obchodzimy rocznicę jego urodzin. — Rocznicę tę godnie uczci literatura: Nakładem Instytutu Wydawniczego „Bibljoteka Polska" zaczęła już wychodzić zbiorowa edycja pism Dygasińskiego. Należy ufać, że edycja ta znakomicie nas zbliży do tego pisarza, który do całości polskiego piśmiennictwa wniósł ten tak odmienny i tak cenny pierwiastek.

ADAM GRZYMAŁA-SIEDLECKI.

F. A. O s s e n d o w s k i: *Słoń Birara.* Powieść dla młodzieży z 16 ilustracjami T. Rożankowskiego. Poznań, Wydawnictwo Polskie R. Wegner, stron 173.

Stale się użalał, że już mu w mojej bibljotece zabrakło książek podróżniczych z opisami przygód myśliwskich. Bowiem co miałem na półkach wszystko już przewertował. Aż oto pewnego dnia mówię mu:

— Synu! Jasiuniu! Mam piękną rzecz dla ciebie. Akurat dla ucznia III kl. gimnazjum. Oto najnowsza książka Ossendowskiego: „Słoń Birara".

A była to niedziela. Jasio, zapalony filatelista, ponadto zbieracz nalepek na okna, segregował z wielkiem przejęciem trzeci objekt swego zamiłowania, t. j. żetony dobroczynne, te drobiazgi, które przypinają na ulicach do rękawów, jako znak złożonej ofiary do puszki. Na wspomnienie Ossendowskiego pozostawił cały stół w nieładzie i wziął się do słonia Birary. Do południa zmłócił całą książkę jednym tchem.

— Tatusiu, coś wspaniałego! Nadaje się do Twojej bibljoteki myśliwskiej.

Jakkolwiek od świata młodzieży oddaliłem się sporo, to jednak, otrzymawszy taką podnietę, wziąłem książkę do ręki. Za kilka godzin byłem z nią gotów.

— Jasiuniu! Zainwentaryzuj tę książkę!

Zaiste powieść wspaniała, godna mistrzowskiego pióra Ossendowskiego. Bohaterem akcji jest tu chłopak Amra, rodowity Hindus i poczciwe jego słonisko Birara, pochodzące z dżungli Assanu. Między tym indyjskim człowiekiem, a potwornem zwierzęciem zadzierzgnięta została dozgonna przyjaźń. A fundamentem jej były szlachetne uczucia i szczera miłość, jaką żywił Amra do Birary. A stare słonisko wdzięczne mu za to było. Pracował Birara w pocie czoła na swego młodego pana, dzielił z nim wszelką dolę i był mu przyjacielem jakiegobyś daremnie między ludźmi szukał.

Nie znał Birara zgoła co to jest bicie młotkiem czy hakiem żelaznym po głowie, które to bóle przeżywali jego koledzy, będący w niewoli człowieka. Amra miał dla niego tylko gołębie serce i najczulsze słowa, które słoń rozumiał tak, jak się rozumie najwierniejsze psisko.

Polował Amra w dżungli indyjskiej zawzięcie, a ogromny i niezgrabny, a przytem posłuszny i mądry Birara — w czasie polowania na węże — zastępował z powodzeniem wyżła. A gdy sidłami otoczono nory królików, wówczas na słowa: „Tup, a z całej siły"! jął Birara przestępować z nogi na nogę, podskakiwać i tupać, płosząc króliki.

A gdy pewnego czasu musiał Amra odjechać i osierocić słonia, wówczas Birara łzy miał w małych, smutnych oczach, podniósł trąbę do góry, wyciągnął szyję i długo ryczał żałośnie. Płakał widocznie i rozpaczał. Tęsknota za swym panem i nieukojony żal toczyły go, jak złośliwe robaki. Aż trudno zrozumieć tę tęsknotę zwierzęcia za człowiekiem, który był istotnie człowiekiem i od którego to zwierzę-potwór nigdy nic złego nie zaznało. A gdy wreszcie Amra powrócił, wówczas „Birara stanął naprzeciwko, a z małych jego oczek płynęły łzy bezmiernego szczęścia". A gdy długie, pracowite i wierne życie słonia doszło wreszcie do kresu, płakał wówczas żałośnie, szlochał młody pan jego, Amra; aż jęk szedł po lesie.

Książka doskonała, o wielkich atutach wychowawczych, budząca najszlachetniejsze uczucia, które oby zawsze były udziałem człowieka w stosunku do zwierzęcia. Z prawdziwą maestrją opisuje autor świat dżungli indyjskiej, z której, jak żywe, wyłaniają się: pręgowany drapieżnik tygrys, plamista pantera, tchórzliwy szakal, hjena, dziki bawół, ponury odyniec, jeleń, sarna, słonie, których nie ujarzmiła jeszcze ludzka chytrość i przebiegłość; czeredy małp, stada dzików, jadowite węże, krokodyle i różnorakie ptactwo.

Niezwykle ciekawe, przykuwające uwagę czytelnika myśliwego i nie-myśliwego, są opisy polowań na zwierza krwiożerczego, pełne grozy i niebezpieczeństw. Łowy na tygrysa z oswojonemi słoniami, to polowania królewskie, wymagające zimnej krwi strzelca, celnego oka, a jednocześnie odwagi kornaka (poganiacza słonia) oraz sprytu i siły słonia.

Wielki łowczy Tasfina wsławił się sztuką urządzania polowań, które słynęły w całym Hindostanie. Otoczył on raz dżunglę dimurską podwójnem kołem ludzi, sieciami i sznurami (fladry). „Ukryte w kniei zwierzęta — opisuje świetnie i obrazowo autor — oddawna zwęszyły wielką ilość ludzi, lecz za późno wyczuły groźne niebezpieczeństwo. Gdy zamierzały wyrwać się z ostępu, napotkały już wszędzie zastawy, zagrody lub wzbudzające w nich strach chorągiewki, powiewające na przeciągniętych sznurach. Zwierzęta powracały więc w głąb dżungli i miotały się bezradnie".

Czytając inny opis polowania, tym razem na słonie, zdaje nam się, jakbyśmy osobiście przeżywali te wszystkie emocjonujące i jakby znane nam już zdawna chwile. Autor pisze: „Ze wszystkich stron dochodziły teraz krzyki naganiaczy, stuk kijów o pnie drzew, wrzask i nawoływanie. Cały ten zgiełk pokrył w jednej chwili straszliwy łomot, głuchy tupot ciężkich nóg i cienkie, przeraźliwe trąbiene spłoszonych słoni Olbrzymy zaczęły się miotać, czując zasadzkę i węsząc ludzi. Usiłowały przerwać zdradliwe koło naganiaczy, lecz nie zdołały".

A oto zakończenie innego polowania, jakby w polskiej kniei: „Naganiacze podchodzili już do stanowisk myśliwych Od skrzydeł linji strzelców zagrały trąbki. Łowy były skończone. Znoszono i składano w długi szereg upolowaną zdobycz".

Zaiste przybyła nam piękna książka i pod każdym względem wartościowa. Mógł ją dać społeczeństwu tylko stylista tej miary i znawca życia dżungli w jej szczegółach, jakim jest bezspornie wielki nasz pisarz F. Antoni Ossendowski.

JÓZEF WŁADYSŁAW KOBYLAŃSKI.

Wierchy, rocznik poświęcony górom i góralszczyźnie, organ Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego, pod redakcją dr Walerego Goetla i Jana A. Szczepańskiego. Rok. XVI, Kraków, 1938.

Interesujące to wydawnictwo o 244 str. druku zawiera 8 większych prac oraz 9 artykułów w dziale „Kroniki" i wreszcie długi szereg drobniejszych wzmianek z różnych działów, jako to: ochrony przyrody, alpinizmu i taternictwa, spraw turystycznych, przyczynków krajoznawczych, piśmiennictwa i t. p.

Jako artykuł wstępny czytamy powitalną inwokację z okazji przyłączenia do Polski ziem Zaolzia i Jaworzyny, pióra Władysława Krygowskiego p. t. „Góry nasze, wiecznie nasze..." Dalej znajdujemy dłuższą pracę Adolfa Chybińskiego p. t. „Karol Szymanowski a Podhale"; następnie cieszymy się opowieścią doskonałego narratora łowiecko-góralskiego Tadeusza Malickiego p. t. „W kolibie na Jaworzynie", piękną gwarą góralską pisaną; Jan Reychman daje ciekawe studjum „Dwory i dworki pod Tatrami", a Bohdan Treter — „Dwór Moniaków w Zubrzycy Górnej — przyszłe orawskie muzeum regjonalne"; „O szacie leśnej Tatr" piszą (i ilustrują tę pracę) Marjan Sokołowski i Maciej Zajączkowski; Cisnę i zachodnie krańce Bieszczadów opisuje Antoni Wrzosek i wreszcie Jerzy Golcz drukuje wspomnienia p. t. „Dziesięć lat w Alpach Francuskich", a Stanisław Siedlecki — „Przejście z południa na północ przez zachodni Spitsbergen".

W dziale „Kroniki" zamieszczony jest cały szereg ciekawych artykułów, których dla braku miejsca nie wymieniam, natomiast nazwać tu muszę bardzo interesującą pracę Juljusza Zborowskiego p. t. *„Przyczynek do życiorysu Sabały i polowań na niedźwiedzie w Tatrach"*.

Całość rocznika „Wierchów", suto ilustrowanego, przedstawia się okazale i zawiera bogatą, wszechstronnie interesującą treść w zakresie zagadnień, z naszemi górami związanych.

*

Jan Tokarżewski-Karasiewicz: *„Bo", psi poemat"*. Bydgoszcz, 1939; str. 30.

Tak mało mamy psa, najwierniejszego z naszych czworonożnych przyjaciół, w poezji, że miłą daniną Autora wydać się musi każdemu poświęcenie swemu legawcowi „poematu", jako osobnej, choć nie zbyt długiej, wierszowanej pracy.

Czytając ten „psi poemat", wyczuwa się, jak głębokie uczucia przyjaźni i sympatji łączą Autora z psim „światem" w ogóle, widzi się również, że jest on myśliwym rzetelnym, a nie przeciętnie polującym dla mody lub mięsa. Pozatem dominuje w „poemacie" zacna myśl duchowej potrzeby myśliwskiej polowania z psem, wyrażonej między innemi na str. 25 słowami: „Łowcom bez psa — pieskie życie!" A gdy „Boba" nie stało (— coprawda mało zrozumiałem jest rozstanie się Autora z wiernym przyjacielem jedynie z powodu „wymówienia" psu mieszkania przez „gospodarza" domu w mieście —), Autor pisze krótką „Pieśń przywiązania", w której wyrzeka się kontraktów na tereny łowieckie, karty łowieckiej i strzelby.

Tego samego, co o tendencji „poematu" i o uczuciach w nim wyrażonych, niepodobna powiedzieć o samej „technice" poetyckiej. Wiersz — zresztą bardzo sympatyczny, choć niewyszukany w formie — za mocno chwilami szwankuje co do doboru wyrażeń i rymów. Zadużo też niepotrzebnej „licencji". Czasem skażony jest język łowiecki. Oto kilka kolejnych przykładów: czyż zamiast „krzykiem" (str. 13) nie lepiej powiedzieć było, nie psując rytmu „krzyczę"? Nie można zamiast buszować mówić „burszować" (str. 13); i na miły Bóg, klapaki się nie „wzięli" (str. 14), lecz się wzięły; klapak nie „kwili" (str. 14) lecz piszczy; czyż konieczne było użycie „dla rymu" zamiast śrutem: „drobiem" (str. 19) (— nb. rym wyszedł także do niczego: Bobem — drobiem...); „zarulował" (str. 19) to jest całkiem nie do rzeczy, czyż nie prościej (dla rytmu): i zrulował; rym: sobą — obom (str. 19) jest niedopuszczalny. Pozatem w tej sympatycznej pod względem zewnętrznej szaty książeczce fatalna jest wprost korekta!

Szkoda, że tyle jest braków „technicznych", z których część tylko wymieniłem, w tak niedługim „poemacie". Pies stanowczo wart jest lepszej formy poetyckiej. Szlachetna tendencja Autora nie ratuje sytuacji. WŁ. Z.

Z POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

DZIAŁ URZĘDOWY.

Odroczone posiedzenie Naczelnej Rady Łowieckiej odbędzie się 14 maja r. b. (niedziela) o godz. 10-tej w lokalu P. T. Ł., Nowy Świat 35.

Z KOMISJI GŁÓWNEJ STRZELECTWA MYŚLIWSKIEGO.

Komisja Główna Strzelectwa Myśliwskiego Polskiego Związku Łowieckiego komunikuje, że strzelnica w Szczęśliwicach na 27, 28 i 29 maja r. b. oddana została do dyspozycji Państwowej Wytwórni Prochu w Pionkach, która organizuje na strzelnicy tej doroczne zawody w strzelaniach myśliwskich do rzutków.

ROZMAITOŚCI

MIĘDZYNARODOWY KONGRES PRASY I PISARZY ŁOWIECKICH.

Z inicjatywy Związku prasy łowieckiej Królestwa Belgji zwołany zostaje do Liège I Międzynarodowy Kongres Prasy i Pisarzy Łowieckich, który odbędzie się w dniach od 27 czerwca do 1 lipca r. b. włącznie.

Program zjazdu przewiduje trzy dni obrad, zwiedzenie Wystawy Wodnej, jaka w tym czasie będzie się właśnie odbywać, strzelanie do gołębi o wielką nagrodę Wystawy — medal złoty i 75.000 fr., oraz specjalną konkurencję dla uczestników zjazdu prasowego, wreszcie szereg przyjęć, urządzonych dla uczestników kongresu — przez Komitet organizacyjny, przez gubernatora prowincji Liège, oraz bankiet na terenie Wystawy.

O bliższe szczegóły i wyjaśnienia należy zwracać się listownie do Generalnego Sekretarjatu Komitetu Organizacyjnego Kongresu: 17, rue des Anges, à Liège.

DROP W POWIECIE LUBARTOWSKIM.

Na terenie powiatu zdarzył się rzadki wypadek pojawienia się dropia. W dniu 5 stycznia r. b. na terenie osady Kamionka zaobserwowany był drop przez Podłowczego P. Z. Ł., hr. Al. Zamoyskiego. Teren Kamionka jest dzierżawiony przez Koło Łowieckie „Lewart", którego strażnik łowiecki również przez kilka dni widział dropia. Jednak na polowaniu w dniu 15 stycznia dropia już nie widziano.

Należy zaznaczyć, że według posiadanych wiadomości ostatni raz widywano dropie na terenie powiatu w roku 1905-ym.

KRONIKA MYŚLIWSKA

Zestawienie ubitej zwierzyny w Lasach Towarzystwa Starachowickich Zakładów Górniczych

Rok	Ogólna ilość ubitej zwierzyny	Jelenie	Sarny i kozły	Dziki	Lisy	Zające	Kuny tumaki	Jarząbki	Bażanty	Cietrzewie	Kuropatwy	Słonki	Dz. kaczki	Wiewiórki	Borsuki	Króliki
1932/33	272	—	1	3	8	253	—	3	—	3	1	—	—	—	—	—
1933/34	472	—	4/1s.	21	7	436	—	1	—	1	—	1	—	—	—	—
1934/35	666	—	9/1s.	14	20	606	3	—	2	5	2	2	2	—	—	—
1935/36	750	—	6/2s.	31	16	684	4	—	—	1	5	1	—	—	—	—
1936/37	827	3	17/3s.	52	24	709	1	1	5	11	—	—	—	1	—	—
1937/38	847	2/1ł.	16/5s.	56	33	724	1	—	4	2	1	—	—	—	1	1
1938/39	738	9	77/28s.	59	36	508	1	—	8	1	—	1	7	—	2	1

Uwaga: Od roku 1934 polowanie na jarząbki zostało zamknięte.

SPROSTOWANIE.

Do artykułu „Cechowanie broni — Broń belgijska" wkradły się pewne nieścisłości, a mianowicie:

W przykładzie cechowania strzelby belgijskiej rys. 10 powinno być: (rys. 2, rys. 3, rys. 7) — 2,5g. Poudre 33g. Plombs

$$D = \frac{70}{18,7} \quad \text{PIK} \quad 173,5 \quad \frac{16,4}{17}$$

Oznacza to, że strzelba była przystrzeliwana w Liège i to ładunkiem wzmocnionym, prochem angielskim 2,5 g. i 33 g. śrutu. D(diametr) — średnica komory nabojowej wynosi 18,7 mm a długość 70 mm. PIK 173,5 oznacza wagę lufy: P 1 kg 173,5 g; $\frac{16\,4}{17}$ oznacza kaliber lufy, licznik — przy końcu lufy, a mianownik 22 cm od końca komory nabojowej.

Mylnie był podany „rys. 6" zamiast rys. 7 oraz „$D = \frac{17}{18,7}$"

zamiast $D = \frac{70}{18,7}$

Następnie na str. 224 lewa kol. 3 wiersz od góry winno być: znanych szeroko zamiast „zwanych szeroko", jak to zostało wydrukowane.

TREŚĆ NUMERU:

Redaktor: Walenty Garczyński. Wydawca: Polski Związek Łowiecki. Sekretarz Redakcji: Wł. Zabiełło.

Zarząd i Sekretarjat Polskiego Związku Łowieckiego, tel. 6-66-15.

ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON REDAKCJI I ADMINISTRACJI 6-66-29. KONTO P. K. O. 8082.

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka Warszawa

OCENA BRONI MYŚLIWSKIEJ

Stacja Badawcza Polskiego Związku Łowieckiego dla broni i amunicji myśliwskiej i sportowej przystępuje obecnie do oceny broni myśliwskiej dla ogółu myśliwych.

Ocena broni przeprowadzona będzie według zasad ogłoszonych w Nr. 3 „ŁOWCA POLSKIEGO" z roku 1935.

Opłata za wykonane prace została ustalona w następującej wysokości:

Określenie wydajności strzelby przez oznaczenie jej ilości trafień do tarczy stupolowej, pokrycia pól i zagęszczenia dla jednej lufy i jednego dowolnego rodzaju amunicji	6.— zł.
dla dwu luf	10.— zł.
Dodatkowe oznaczenie siły przebicia przy pomocy kartonów — od jednej lufy . .	1.50 zł.
Dobranie najlepszego naboju handlowego, zależnie od ilości strzałów, oznaczenie najwyższej odległości dostatecznej wydajności strzału dla jednej lufy i jednego rodzaju amunicji.	4.— zł.
Określenie najwyższego ciśnienia w lufie i szybkości początkowej za jeden strzał	2.— zł.

Broń wraz z dokładnie sprecyzowanemi żądaniami uprasza się nadsyłać pod adresem:

„Centrum Wyszkolenia Piechoty w Rembertowie — Myśliwska Stacja Badawcza"



MISTRZOWSKO ARTYSTYCZNA WYTWÓRNIA KOLB DO BRONI MYŚLIWSKIEJ (ŚRUTOWEJ i KULOWEJ)

BRONISŁAWA KULIŃSKIEGO

w Warszawie, ul. Smulikowskiego 11, telefon 6-77-03

wytwarza indywidualne kolby oraz przeprowadza korektury (sposobem naginania specjalnymi aparatami) gotowych przykładów broniowych w najbardziej szerokim zakresie, w zależności od budowy ciała i nawyknień strzelającego. Idealne kapy (przyramienia) korkowe własnego pomysłu.

Bockflintę, suhlską, 2 pary luf, kal 16 × 16 i 8 × 57 JR × × 16, eżektory, strzał maksymalny, prawie nową sprzedam. Cena zł. 650.— Dr. Baborski, Tarnowskie Góry.

Bażantyna — karma dla kur bażancich woljerowych, zwiększająca znacznie nośność, oraz **karma dla młodych bażantów.** Liczne zaświadczenia z kilkoletnich prób najpoważniejszych bażantarni. Zamówienia przyjmuje **S. Kamocki. Milanówek, Grudowska 12. Tel. 31-47.**

Dubeltówek kal. 12 gołębiarek, Springera—para do sprzedania, Komierowski, Korzeniste, poczta Kolno.

Jajka bażancie w większej ilości poszukiwane do kupna Oferty. Łowiec Polski dla S. K.

Leśnik, hodowca zwierzyny, znający się na prowadzeniu szkółek, sadzeniu lasu i t. p. przyjmie posadę leśnika, strzelca lub gajowego od zaraz: Warszawa, ul. Burakowska 11 m. 58, Józef Bartyzel.

Leśnik dobry fachowiec, hodowca zwierzyny, prowadzi bażantarnie, zna rolnictwo, książkowość, poszukuje posady żonatego, leśnika lub rolnika. Zgłoszenia: Łowiec Polski pod Nr. 733.

Okazyjna sprzedaż 7-mio miesięcznych psów myśliwskich krwi niemieckiej po zł. 75. J. Garibaszwili, Annopol Lubelski.

Preparator zwierząt z długoletnią praktyką zagranicą, poszukuje pracy w ośrodkach myśliwskich lub na placówce naukowej. Zgłoszenia kierować do redakcji „Łowca Polskiego" pod „Specjalista"

Settery angielskie 2 miesięczne do sprzedania po „Grigu of Otham" i „Markizie z nad Prosny" z rodowodami. Hodowli „Chaine d'or" Janiny bar. Helmersen maj. Suchy Bór p. Dołhinów.

Stary, znakomity miód, rzadki trunek, poszukiwany przez znawców, **z 1867 roku,** już tylko 50 butelek, w oryginalnem opakowaniu, **okazyjnie do sprzedania** w całości lub częściowo. Wiadomość: „Łowiec Polski" tel. 666-29. Piśmiennie: Warszawa, Nowy Świat 35. „Łowiec Polski".

W celu ułatwienia hodowcom zwierzyny płowej zasilania jej solą pastewną, zadawaną w **LIZAWKACH**

POLSKI MONOPOL SOLNY

od jesieni roku ubiegłego przystąpił do fabrykacji **brykietów solnych**

Czas wprowadzenia brykietów, waga ich i opakowanie podane będą do wiadomości.

„KALENDARZ MYŚLIWSKI" stanowi niezastąpiony podręcznik codziennego użytku we wszystkich działach.